czas 2552/1977/4

„HOMO HOMINI"

Rozmowa z Aleksandrem Nowackim

str. 6

POLITYKA

KOŃCZY LAT 20

Ireneusz J. Kamiński str. 3

ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

LUBLIN 20 II 1977

Nr 4 (620)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

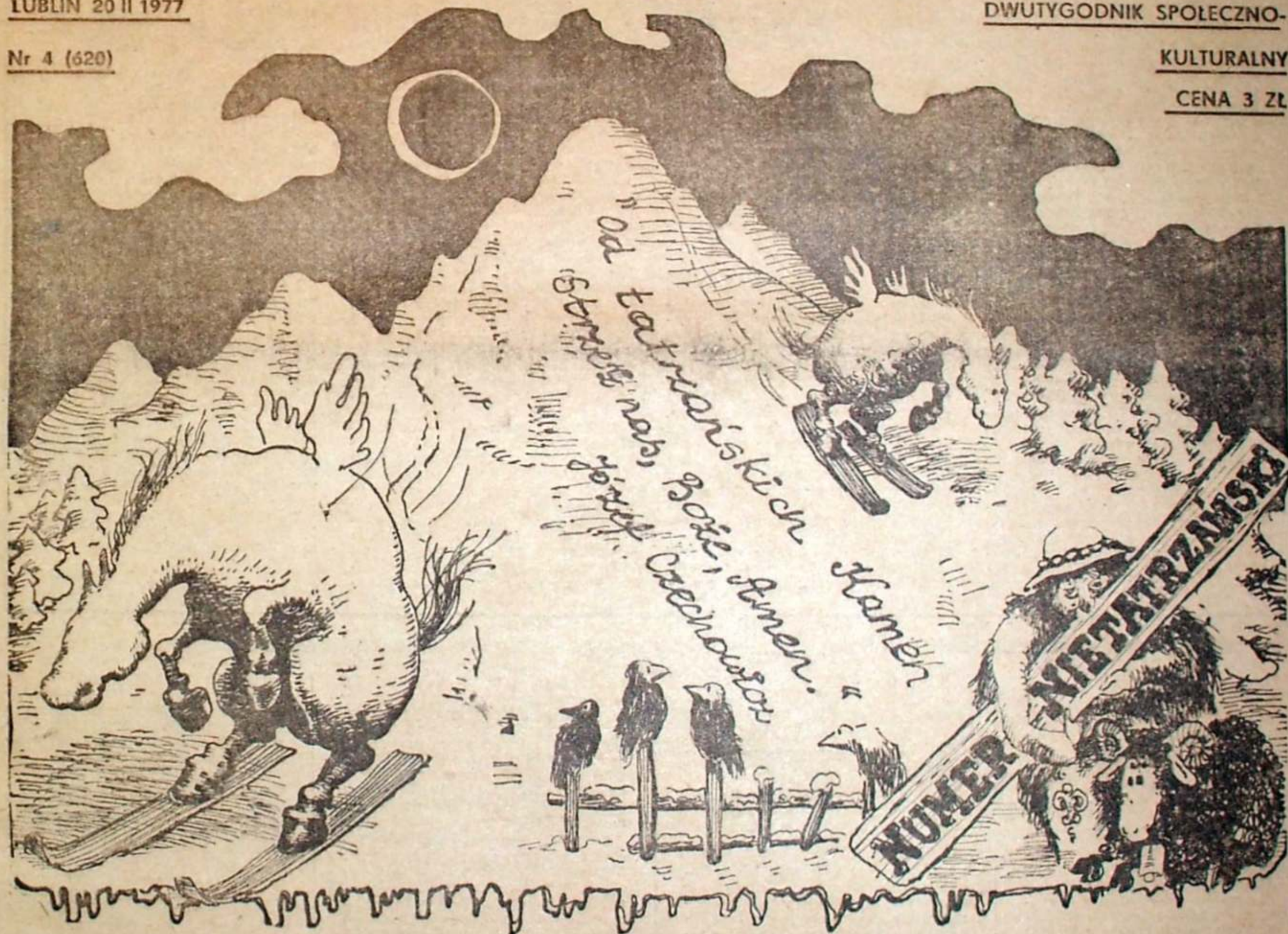

Rys. Konrad Kozłowski

13 „UNIA" PO RAZ CZWARTY

ROZMOWA Z PREZYDENTEM CHEŁMA DANIELEM HANEM 7

2 Studniówka po lubelsku

Studniówka po lubelsku

W „Szpilkach" (nr 7) Jerzy Urban poświęcił swój stały felieton sprawie studniówek lubelskich („Muzyka do tańca") polemizując i z Bronisławą Jurkowską, dziennikarką „Kuriera Lubelskiego", i z kuratorem oświaty i wychowania w naszym mieście, Eugeniuszem Korolczukiem.

Cytuję — a dlaczego, o tym dalej — obszerne fragmenty jego felietonu:

...„Kurier Lubelski" (nr 11) przyniósł artykuł Bronisławy Jurkowskiej. Konstatuje ona, że studniówki uległy wypaczeniom i oddaje głos miejscowemu kuratorowi, Eugeniuszowi Korolczukowi, który przedstawia jak też ukazał je naprostować.

Moim czytelnikom [...] wyjaśnić pragnę, że od lat stu lub więcej studniówką nazywana jest obrosła tradycją zabawa taneczna, urządzana na sto dni przed maturą. Taki bal stanowi coś w rodzaju ostatków życia rozrywkowego, dla podkreślenia, że odtąd trzeba już tylko kuć aż dopiero bal maturalny otworzy nowy karnawał.

Kurator ogłasza, że studniówka ma być okazją do kształtowania... „postaw socjalistycznego patriotyzmu, który zawiera także postępowe wartości tradycji oprócz nowych wartości społecznych i ideowych wyrosłych..." itd. Czytamy to jeszcze ze spokojem wiedząc, że są ludzie, którzy pewne rzeczy mówią niezależnie od tego, czy okazja i pretekst są po temu właściwe, przez co wszelkie ważne słowa przemieniają we frazesy. Ale nie! To nie odruch warunkowy kuratora, który włazi na koturny w związku z tym, że wypowiada się dla prasy. Studniówka — czytamy dalej — ma być czasem przeznaczonym na podsumowanie dorobku. „Będzie to więc ocena nauki i postaw uczniów przez cały czas ich pobytu w szkole". W czasie studniówki — zarządza kurator — należy uczniom wręczać odznaki, dyplomy i nadawać tytuły honorowe za osiągnięcia. Potem nastąpi dyskusja o wyborze zawodu oraz przemówienia. Dalej będzie wygłaszanie sprawozdań z działalności różnych organizacji. Zaleca się wywieszanie gazetek ściennych i wyświetlanie filmów upamiętniających poprzednie szkolne galówki. Potem urządzić trzeba „ślubowanie dobrej nauki i pracy w okresie ostatnich stu dni", oraz wręczanie szkole pomocy naukowych sporządzonych przez uczniów. Repertuar uzupełni dyskusja o tym, co w szkole poprawić, wystawa dorobku, przegląd zespołów, podsumowanie pracy komitetu rodzicielskiego i opiekuńczego. Na studniówkę przybyć mają wszyscy rodzice, nauczyciele oraz rozmaici działacze, aby młodzież mogła im wyrazić szacunek i wdzięczność. Wreszcie zabawa, która ma mieć nowe formy. Zabawa ta stwarzać musi warunki: „...do zaprezentowania przez młodzież jej samodzielności oraz samorządności działania zarówno w zakresie prac przygotowawczych jak i przeprowadzenia całej uroczystości oczywiście pod nadzorem dyrekcji szkoły..."

Wysłuchawszy tego pani Jurkowska pyta, czy w związku z tym, że studniówka stanie się galówką, wręczanie matur będzie uroczystością oficjalną, na którą położy się jeszcze większy nacisk. Kurator akceptuje logikę pytania i potwierdza. Po rozdaniu matur — wyjaśnia — przewidziany jest „bal absolwentów świadczący o tym, że ich związki ze szkołą były należycie ukształtowane".

Znam tańce o ekspresji ukazującej bardzo różne związki, raczej erotyczne. Ciekaw jestem jednak bardzo jak wygląda taniec, poprzez który zaświadcza się o istnieniu związków ze szkołą — i to ukształtowanych należycie. Sądzę, że jest to taniec na klęczkach wyrażający cielesną adorację dyrekcji z pokłonami przed radą pedagogiczną.

[...] Pani Jurkowska podsumowuje rozmowę z zachwytem: „to bardzo piękna i słuszna inicjtywa". Wzywa, by upowszechnić ją na cały kraj. „Takie zmiany od dawna były oczekiwane przez światłych pedagogów i rozsądnych rodziców a także przez młodzież z zazdrością słuchającą studniówkowych wspomnień dziadków" — pisze. Albowiem do wszelkiego kretyństwa dobrze jest dodać kłamstwo, tu zawierające się w sugestii, że nasi dziadowie w czasie studniówki, zamiast tańczyć, z rozkoszą słuchali przemówień oraz sprawozdań.

Urban kończy felieton tak:

Ogólnie zaś biorąc, pies trącał studniówkę. Można ją zmienić nawet w zbiorowe szorowanie wychodków i świat się wciąż nie zawali. Natomiast przerażenie ogarnia, że wśród kierowników procesu wychowania trafiają się i tacy, którzy uważają, a przynajmniej głoszą, że jeśli przemówieniami i sprawozdaniami zastąpi się wszystkie inne formy życia oraz tradycję, że kiedy wciśnie się „słuszne" gadanie jak najgęściej, w miejsce balu, spaceru, randki; że gdy wtrymi się galówki nawet do łóżka — przemowy i podsumowania staną się przez to rozkoszą, nie zaś odstręczającym natręctwem, a proces wychowawczy dozna cudownego, magicznego spełnienia.

7 numer „Szpilek" dotarł do Lublina w sobotę 12 lutego. Dwa dni przedtem na łamach „Kuriera Lubelskiego" ukazał się kolejny tekst, tym razem pióra (ok). pt. „Studniówki jednak lepsze". Autorka informuje że młodzież pozytywnie ocenia nowy kształt studniówek, które postanowiono — ze względu na zmianę charakteru spotkań — przesunąć z nocy na popołudnie.

„Byłam — pisze (ok) — na studniówce w III liceum im. Unii Lubelskiej. Chociaż zaczęła się o 15, a skończyła późnym wieczorem — jej uczestnicy zrozumieli, że o wiele ważniejsza od godzin (to znaczy nie nocnych, ale popołudniowym — przyp. MAJ) jest atmosfera. I że wspomnienia oraz atrakcyjne programy artystyczne wcale studniówce nie szkodzą, a przeciwnie podnoszą jej rangę, odróżniając od zwykłej zabawy karnawałowej".

Może i atmosfera jest ważniejsza od godzin, ale nieco dalej autorka stwierdza, iż ich zmiana przysporzyła nieco kłopotów w tych szkołach, do których młodzież dojeżdża. Reforma studniówek, jak z tego wynika, nie została najwidoczniej uzgodniona z dyrekcją PKS i PKP.

(Ok) dodaje też, że nie zawsze „część wspomnieniowa" została starannie przygotowana. W tym miejscu chciałbym zapytać, czy czas do wspomnień już dojrzał? Owszem, dziś, kiedy to właśnie mija trzydzieści lat od mojej studniówki, chętnie bym się spotkał, dajmy na to z Jerzym Bieleckim, dyrektorem naczelnym FSO na Żeraniu, z którym razem chodziliśmy do chełmskiego „Czarnieczaka". Zapewne z łezką w oku powspominalibyśmy starych, uroczych belfrów, spośród których wielu już nie ma na tym padole. Tak dużo im zawdzięczamy! Ale w 1947 roku po prostu jeszcze tego nie docenialiśmy, a w głowie nam były urocze koleżanki z „Farbiszanek". Wątpię, aby młodzież z III liceum już teraz — jak twierdzi (ok) — była autentycznie wzruszona wspominając cztery lata spędzone w szkole. Pic na wodę, fotomontaż, proszę wycieczki!

W konkluzji (ok) uważa, że zmiana formy studniówek powinna być trwała i władze szkolne nie powinny się z niej wycofywać. „Młodzież obecnych klas III powinna natomiast już wcześniej zastanowić się jak przygotować sobie materiał na studniówkę w przyszłym roku". Ów materiał mają stanowić: nagrania magnetofonowe, zdjęcia, szopka, stare kawały, stare numery gazetek ściennych...

Ze swej strony proponuję jeszcze, aby na przyszłorocznej studniówce publicznie odczytywano felieton Jerzego Urbana z 7 n-ru „Szpilek". Ponieważ numer ten w Lublinie jest nieosiągalny, a tekst zaczyna krążyć w odpisach, postanowiłem zaoszczędzić młodzieży — w okresie przedmaturalnym — dodatkowego obciążenia. Stąd te przydługie cytaty.

I jeszcze jedno. Nie można wylewać dziecka wraz z kąpielą. Mimo pobożnych życzeń kuratora i ciotuni (ciotuń?) z „Kuriera" studniówki w ich tradycyjnym kształcie jednak się odbywały. Z murów szkolnych młodzież przeniosła się do prywatnych mieszkań, do lokali — delikatnie mówiąc — zbiorowego żywienia, niekoniecznie w mieście stanowiącym siedzibę szkoły. Sprawozdań z tych studniówek, niestety, nie ma. Najwidoczniej nie chciano zanudzać ciotuni i dlatego jej nie zaproszono. Szkoda.

Z pewnego źródła wiem natomiast, że kuratele nad nimi sprawował sam Pan Bóg. Czy o to chodziło?

Marek A. Jaworski

PIŁKA I KASTETY

PRASA zachodnia zwraca uwagę na coraz częściej zdarzające się awantury w czasie trwania meczów piłkarskich. Zachodnioniemiecki tygodnik „Stern" omawia sytuację na stadionach w RFN. Kibice przychodzą na mecze nie tylko z trąbkami i chorągiewkami. Podczas kontroli przed stadionem Wedau w Duisburgu policja skonfiskowała cały arsenał narzędzi do bicia i kłucia: dwa rewolwery, jeden młotek, kastety, linę okrętową, rury metalowe, łańcuchy rowerowe i tzw. spraye wywołujące łzawienie. W ub. roku policja w jednym tylko mieście, Hamburgu, wyciągnęła z kieszeni młodocianych kibiców osiem pistoletów.

Na każdym meczu ligowym od 120 do 150 policjantów stara się tłumić chuligańskie wybryki. Agenci, ubrani po cywilnemu, obserwują grupy kibiców już w trakcie ich wchodzenia na stadion. Później bacznie obserwują zebranych i w razie zamieszek kierują kolegów w mundurach we właściwe miejsce. Po wyjściu ze stadionów obserwują jeszcze chuliganów w tramwajach i na dworcach.

Nadkomisarz Saager z wydziału młodzieżowego policji hamburskiej stwierdza: „Obserwujemy przede wszystkim podpitą młodzież. W 1976 r. wyciągnęliśmy z zachodniego łuku stadionu 176 pijanych dzieci i młodocianych, w tym 30 dzieci poniżej 14 lat. Dwanaścioro dzieci trzeba było odwieźć do szpitala, gdyż były w stanie całkowitego zamroczenia alkoholowego".

Już od dawna policja nie polega na gumowych pałkach i owczarkach. W Kolonii przed każdym meczem krąży dookoła boiska samochód z automatyczną kamerą telewizyjną i rejestruje obecnych.

41 chuliganów z Kolonii otrzymało na stałe zakaz wstępu na stadiony. Po przegraniu ich drużyny 1. FC w Monachium weszli oni na szyny tramwajowe i wybili okna w zablokowanym w ten sposób wagonie. Policja zamknęła ich na noc i wniosła przeciwko nim skargę.

W Offenbach jeden z kibiców stracił w bijatyce oko, w Hamburgu wyrostki zajmowały się siusianiem na widzów siedzących przed nimi.

W Duisburgu trzej porządkowi zostali tak mocno pobici, że trzeba ich było odwieźć do szpitala. W Duesseldorfie 28 mężczyzn wyrwało ławki z ziemi w parku koło stadionu i rzucało je w samochody kibiców. Po klęsce 1. FC Koeln w Essen grupa rozczarowanych kibiców podpaliła wagon kolejowy.

„Nic nie chcemy mieć wspólnego z takimi ludźmi" — stwierdza przewodniczący Hamburga Sport-Verein, dr Peter Krohn. — Szkodzą oni naszej reputacji". W 1975 roku czternaście klubów pierwszej ligi otrzymało upomnienia od Związków Piłki Nożnej RFN za niedostateczny nadzór na stadionach.

Zamknięcia boisk, jakie wielokrotnie nakazywał Europejski Związek Piłki Nożnej po awanturze podczas rozgrywek międzynarodowych, dotychczas nie były stosowane w RFN. „Sytuacja nie jest jeszcze na tyle zła — powiada rzecznik Związku Piłki Nożnej RFN. — Inaczej niż na ciasnych stadionach piłkarskich w Wielkiej Brytanii, gdzie w końcu każdego tygodnia dochodzi do masowych bijatyk, bieżnie między boiskiem a trybunami a także spora liczba miejsc siedzących na większości stadionów zachodnioniemieckich przyczyniają się do osłabienia agresywności kibiców".

Ostatnio policja korzysta z nowej pomocy. Członkowie zorganizowanych klubów kibiców zgłaszają się jako świadkowie, kiedy dojdzie do użycia materiałów wybuchowych, rzucania tekturowych kubków wypełnionych piachem lub bijatyk. W Bremie za takie usługi dostaje się po 100 marek, są kluby, które za tego typu pomoc dają bezpłatne bilety wstępu.

Mimo wszystko jednak wojna piłkarska rozszerza się. „Widz delektuje się swą rolą sędziego, oskarżyciela i obrońcy. Działa spontanicznie i nie odczuwa skruchy" — powiada psycholog z Bremy, prof. Fritz Stemme.

A warto dodać, że np. w Belgii kolegium sędziów zdecydowało się ostatnio przerywać mecze piłkarskie już po najdrobniejszej awanturze — nawet wtedy, gdy ktoś rzuci np. na stadion rolkę papieru toaletowego...

Na naszych lubelskich stadionach możemy być spokojni. Nikt nie rzuci rolki papieru toaletowego. Znając trudności w tym względzie zawodnicy „Motoru" mogliby się zresztą bardziej zainteresować ową rolką niż samą piłką...

(pss)

Kamena str. 2

POLITYKA

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI

„POLITYKA" od razu zaczęła z wysoka. Pierwszy lokal redakcji znajdował się na XI kondygnacji Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Pierwszym redaktorem naczelnym także była postać nietuzinkowa i raczej rosła, a przy tym pełniąca zarazem funkcję ministra szkół wyższych. Stefan Żółkiewski, bo o nim mowa, rozważał wówczas zawiłe problemy polityki kulturalnej, prezentował twórczość Juliana Kleinera, interesował się Chinami a na co dzień chadzał w wytartym od nader długiego używania kapeluszu. Mieczysław Rakowski, zastępca Żółkiewskiego w 1957 roku, ubierał się bardziej awangardowo, czemu pozostał wierny do dziś.

Kto wymyślił „Politykę", trudno dokładnie ustalić. Michał Radgowski, bank informacji na temat pisma, cytuje zasłyszane opinie, że to podobno Jerzy Putrament miał wpaść na ów pomysł wydawniczy, wiążąc go z obroną zdrowych idei 1956 roku. Przyjmijmy przecież zbliżając się tym samym do istoty rzeczy, że „Politykę" zrodziły okoliczności historyczne, układ sił w polskim życiu politycznym sprzed lat ponad dwudziestu.

W stopce 1 numeru, który ukazał się z datą 27 II — 5 III 1957, widnieje kilkanaście nazwisk ludzi na ogół znanych, tyle że nie w kołach dziennikarskich! Warto chyba o tym wiedzieć, biorąc do ręki jakiś dzisiejszy numer tego żywo redagowanego magazynu społeczno-politycznego, który zamieszcza też dużo materiałów o tematyce kulturalnej. W grupie założycieli pisma znajdowali się zatem działacze polityczni starszej generacji, np. Franciszek Blinowski, Leonard Borkowicz i Romana Granas (kierująca wcześniej Szkołą Partyjną KC), oraz przedstawiciele młodszego pokolenia, ludzie około trzydziestki: Stanisław Kuziński, Mieczysław F. Rakowski i Andrzej Werblan, autor głośnego artykułu „Spór o granice wolności politycznej" zamieszczonego w premierowym numerze tygodnika. Odmienny typ aktywności reprezentowali Jerzy Putrament, Adam Schaff i Stefan Żółkiewski. Wśród kandydatów na publicystów należałoby umieścić Ryszarda Koniczka i Michała Radgowskiego, który do 1957 roku udzielał się naukowo w katedrze filozofii Uniwersytetu Warszawskiego, rzucając jednak tę profesję przy nadarzającej się okazji, bo samo życie wydało mu się ciekawsze od refleksji nad Kantem (uprawianej zawodowo) Znanych dziennikarzy było w tym pierwszym zespole aż trzech: Zygmunt Kałużyński, Kazimierz Koźniewski i Józef Kuśmierek. Nasz rodak z Łęcznej uważany był wówczas za znawcę kultury Zachodu, co wiązało się m. in. z dłuższym pobytem Kałużyńskiego we Francji. Do „Polityki" przeszedł z „Nowej Kultury" i zaczął pisywać o różnych sprawach — „Gombrowicz jako „wściekły", „Pacyfizm też ma manowce" —pozostając wierny optyce publicystycznej znanej nam z jego działalności na łamach „Wsi", która po wojnie ukazywała się w Lublinie, następnie w Łodzi. Film nie interesował jeszcze żywiej Kałużyńskiego.

W zespole znajdowały się ponadto trzy znakomite postaci, pełniące funkcje raczej „dekoracyjne": Oskar Lange, Leon Kruczkowski i Władysław Broniewski. Poeta, jak wspomina człowiek poinformowany „przyszedł raz na posiedzenie zespołu najwyraźniej nie orientując się, gdzie przebywa i w czym bierze udział". Oczywiście, nie miało to żadnego wpływu na pracę redakcji, w której rychło zaczęli dominować dziennikarze, co tylko na dobrze wyszło „Polityce". Od początku na pierwszej stronie tygodnika widniał felieton rysunkowy Szymona Kobylińskiego.

Wyjściowa sytuacja kadrowa pisma była zatem dość urozmaicona, co wcale nie obiecywało zgody co do profilu, czy raczej formuły wydawniczej „Polityki". Ta mozaikowość nie miała przecież żadnego wpływu na fakt powszechnego przyjęcia pierwszych numerów przez czytelników, aczkolwiek są na ten temat i inne opinie. Tak czy inaczej z 26 tysięcy nakładu „Polityki" nr 1 do redakcji wróciło z kiosków aż 15 tysięcy egzemplarzy. „Po prostu", którego redakcja znajdowała się w tym samym gmachu o kilka pięter niżej, osiągało wówczas 150 tysięcy nakładu. Stosunki między obu zespołami układały się w ten sposób, że kiedy w tygodniku studentów i młodej inteligencji zabrakło kiedyś szklanek, z niechęcią odrzucono sugestię pożyczenia ich w „Polityce". Tak przynajmniej twierdzi Jerzy Urban, niegdyś dziennikarz „Po prostu", a dziś jeden z filarów „Polityki".

Oprócz szklanek redakcja z XI kondygnacji pałacu posiadała takie wartości materialne, jak samochody osobowe: marki warszawa i zim, który — ogromny i czarny mógł podobno zmieścić całe kolegium redakcyjne.

Z góry założono, że deficyt ośmiostronicowej „Polityki" wyniesie 5 mln zł rocznie. Pod jednym przynajmniej względem redakcja odnotowała jeśli nie superatę, to na pewno stan obfitości. Otóż w 1957 roku można było doliczyć się na łamach pisma 219 sygnatur autorskich, za którymi kryło się niewiele mniej nazwisk dziennikarzy, naukowców, polityków i artystów.

Pod redakcją Żółkiewskiego „Polityka" sporo miejsca poświęcała historii, filozofii i kulturze artystycznej. Ale już wówczas często pojawiały się artykuły na temat polityki partii, rad narodowych, międzynarodowego ruchu robotniczego (Mieczysław F. Rakowski), a także reportaże krajowe i z zagranicy. W numerze 1 z 1958 roku Grzegorz Seidler relacjonował np. swoje wrażenia z pobytu w Chinach, stwierdzając na wstępie: *Podczas zwiedzania uniwersytetu pekińskiego uświadomiłem sobie, że wyższe szkolnictwo chińskie w swojej strukturze oparte jest na wzorach anglosaskich college.*

Podział biografii „Polityki" na dwa okresy: „za Żółkiewskiego" i „za Rakowskiego" ma przecież całkiem realne podstawy. W pierwszym pismo nie miało jeszcze dziennikarskiej dynamiki i agresywności, nie interesowało się polską codziennością, a w warstwie językowej — dość wiernie trzymało się akademickiego leksykonu i konwencjonalnej składni. Technika działania, optyka i styl pisma zmieniły się wyraźnie z chwilą, kiedy w czerwcu 1958 redaktorem naczelnym został Mieczysław F. Rakowski. W tym właśnie czasie Żółkiewski szykował się do objęcia kierownictwa „Nowej Kultury" — żegnany przez zespół „Polityki" stosownym bankietem z udziałem *znacznej ilości wina i młodych korektorek*" jak twierdzi Radgowski, socjologizujący filozof (a może odwrotnie?) który uważa się za dziennikarza.

Co my wiemy o Rakowskim? Że do dziś jest naczelnym pisma, które od lat ma decydujący udział w kształtowaniu poglądów oświeconych Polaków? Że jeśli publikuje, to głównie na tematy związane z polityką zagraniczną i międzynarodowym ruchem robotniczym? Że należy do najlepiej ubranych facetów, jacy występują w naszej telewizji? Tak, tyle wiemy. Wiemy też, że jest członkiem Komitetu Centralnego PZPR i posłem na Sejm. Uzupełnijmy jednak te informacje o kilka szczegółów biograficznych, kierując się starym dziennikarskim przekonaniem, że nic pełniej nie definiuje człowieka, jak np. poczucie humoru, stosunek do podległych mu pracowników etc.

Mieczysław F. Rakowski — to „F" dlatego, że są inni Rakowscy Mieczysławowie — pochodzi z dość zamożnej rodziny chłopskiej na Pomorzu. Jego ojciec został zamordowany przez Niemców podczas okupacji. Po wojnie Rakowski służył w wojsku, pełniąc funkcję oficera politycznego i pisując do gazet wojskowych. Później trafił do Centralnej Szkoły Dziennikarskiej przy KC PZPR, która okazała się inkubatorem redaktorów naczelnych i rzetelnych reportażystów. Ukończyli ją bowiem: Józef Barecki (obecnie naczelny „Trybuny Ludu"), Bogusław Reichart (naczelny „Fundamentów"), Jerzy Lovell (zast. naczelnego „Życia Literackiego"), Marian Preis (zast. naczelnego „Forum"), Tadeusz Rubach (korespondent PAP w Tokio) — ze nie wspomnę już o wielu innych, wśród nich o własnym szefie. Zauważony w szkole, Rakowski skierowany został w 1949 roku do pracy w Wydziale Prasy i Propagandy KC PZPR. W 1952 roku studiował historię w Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych przy KC. Jak twierdzą zaprzyjaźnieni z nim ludzie, był wówczas *pozbawiony znajomości szerszego świata i poczucia humoru*, dopiero okoliczności natury osobistej wyzwoliły go z tych przypadłości, wprowadzając zarazem w środowisko artystyczne. Nie zajmował się nigdy drobiazgami,

Rys. Mieczysław Bukowczyk

koncentrując się na wytyczaniu ogólnej linii pisma. Nie rozpieszcza przecież współpracowników uważając, że kto jest faktycznie d o b r y, ten sam się przebije do przodu. *Szef pozwala sobie wiele powiedzieć* — twierdzi Daniel Passent, który pojawił się w „Polityce" jesienią 1958 roku, mając za sobą dwadzieścia lat życia i dwa lata pracy w „Sztandarze Młodych".

Po objęciu stanowiska redaktora naczelnego Rakowski zaczął robić pismo dziennikarskie, wychodzące „naprzeciw poczuciu normalności w pokoleniu". W latach 1958—1960 do redakcji przychodzą nowi i młodzi ludzie: Dariusz Fikus, Marian Turski, Andrzej Krzysztof Wróblewski, wspomniany już Daniel Passent, Jerzy Kleer, Tadeusz Pasierbiński, a nieco później — Jerzy Urban, Henryk Zdanowski, Zygmunt Szeliga i Tadeusz Drewnowski. Zaraz po studiach pojawia się Janusz Rolicki, który trafia w dobre ręce D. Fikusa sekretarza redakcji „Polityki", rozpoczynając swoje słynne podróże reporterskie po kraju w charakterze niby to konwojenta, niby to likwidatora PZU.

„Polityka" wykształca własną szkołę reportażu i krytycznej publicystyki, co pozostaje w bezpośrednim związku z dziennikarską formułą pisma, ale także — a może przede wszystkim — z faktycznie głębokim zaangażowaniem jej pracowników w najważniejsze sprawy Polaków: codzienne, zwyczajne i te, które decydują o generalnym rozwoju społeczeństwa. To już nie jest zespół pracowniczy, ale autentyczna wspólnota ludzi nastawionych na realizację celów przekraczających jednostkowy, etatowy interes. Czy nie daje do myślenia fakt, że zasadniczy trzon redakcji od 18 lat stanowią ci sami ludzie?

Krytyczny ton artykułów „Polityki" z lat sześćdziesiątych to także następstwo przekonania, że socjalizm tożsamy jest z nowoczesnością. Tymczasem właśnie wtedy w naszym życiu społecznym i gospodarczym zaczęły ujawniać się komplikacje i zaniedbania, co skłoniło redakcję do eksponowania ludzi nauki i wybitnych fachowców. „Polityka" propaguje szacunek dla pracy, walczy z nonsensami, ujawnia mechanizmy pozornych karier, preferuje racjonalizm w postawach. Stając się niekłamanym organem opinii publicznej, z różnych stron dostaje też „za swoje", szczególnie przy końcu dekady, kiedy to zarzuca się jej m. in. skłonności technokratyczne. Ale zespół nie rozpada się, tylko jednostki opuszczają redakcję. *Ja gram w tej drużynie bez względu na to, czy przegrywa, czy nie*, komentuje Daniel Passent, niesłychany „Bywalec", którego felietony już weszły do klasyki gatunku. A Jerzy Urban, kierownik działu krajowego „Polityki", acz bardziej znany jako „Kibic" z „Kulis" czy okrutnie racjonalny felietonista „Szpilek", stwierdza wprost: *Nie lubią nas za bardzo w środowisku dziennikarskim. Fakt, stanowimy zespół trochę zamknięty, zyskaliśmy nazwiska, a to musi budzić zazdrość. Poza tym jesteśmy zgrani, naczelny troszczy się o ludzi... Ale bywa też tak, że wczorajsi przeciwnicy ubiegają się o pracę w „Polityce". Wie pan, można nienawidzić kapitalizmu, ale chętnie zostaje się kapitalistą.*

Zarzuca się „Polityce", że uprawia gwiazdorstwo dziennikarskie. Co prawda, to prawda, nazwiska Hanny Krall najlepszej bodaj polskiej reportażystki Macieja Iłowieckiego (niegdyś asystenta na biochemii UW), Passenta, Urbana, Szeligi, Anny Strońskiej, Marty Wesołowskiej, Radgowskiego, Wróblewskiego, Kałużyńskiego, Koźniewskiego i ilu tam jeszcze ludzi pracuje w redakcji — tworzą absolutnie pierwszorzędny garnitur polskiego dziennikarstwa i inne redakcje stają na głowie i otwierają portfele, aby tylko pozyskać te pióra dla swoich celów. Ale czy dzieje się tak za sprawą jakiegoś wyjątkowo zręcznego reklamowania tych postaci przez „Politykę", czy też dzięki indywidualnym wartościom, reprezentowanym przez twórczość tych autorów?!

Ile zarabiają „gwiazdy"? Przyzwoicie, ale bez większej przesady. Dziennikarz z ponad 20-letnim stażem pracy, pełniący funkcję kierownika działu i piszący do każdego numeru, może dojść do 10 tysięcy miesięcznie, co biorąc pod uwagę rangę pisma i wspomniane przymioty delikwenta nie jest wcale sumą oszałamiającą. Nikomu nieznani wyrobnicy pióra z dzienników terenowych zbliżają się do zarobków o takiej wysokości.

Od początku lat sześćdziesiątych „Polityka" jest pismem nie tylko czytywanym, ale i modnym cytowanym w przedziałach kolejowych, podczas spotkań aktywu społeczno-gospodarczego, przy kawiarnianym stoliku. Do dorobku polskiej myśli politycznej weszły refleksje zawarte w głośnych artykułach „Ludzie i socjalizm" (kwiecień 1968 r.), „To, co zdarzy się jutro" (kwiecień 1970 r). Pismo nadal kieruje się dyrektywą, którą w 1972 roku, z okazji 15-lecia „Polityki", sformułował M. F. Rakowski: *Nasz stosunek do rzeczywistości był i jest nacechowany krytycyzmem. Staraliśmy się, by ten krytycyzm nie był paraliżującym nastrojem ducha, lecz postawą skłaniającą do działania i ulepszania świata.* I dalej: *W pogrudniowym programie Partii dojrzeliśmy cele, pod którymi podpisać się może każdy zwolennik socjalizmu.*

Do dorobku polskiego dziennikarstwa „Polityka" wniosła przede wszystkim, mówiąc najogólniej, nieustanne uwrażliwienie na naszą codzienność, rozbudowane formy kontaktów z czytelnikami, konsekwentne popularyzowanie nauki dzisiejszej i dynamiczny sposób redagowania pisma.

Obecnie nakład „Polityki" wynosi 290 tysięcy egzemplarzy, z czego zaledwie 0,2 proc. wraca do nadawcy. Zespół redakcyjny liczy 28 dziennikarzy etatowych i 8 ryczałtowych. W sumie instytucja zatrudnia 44 osoby.

Oby tak dalej! — życzymy „Polityce" z okazji dwudziestolecia pisma.

1939 — 1945

Dokończenie z poprzedniego numeru

RUCH oporu i partyzantka wiązały ogromne siły nieprzyjaciela. Zadanie to wobec wyczerpywania sił biologicznych koalicji hitlerowskiej miało szczególny ciężar gatunkowy. Każdy żołnierz niemiecki czy jego satelita, związany na ziemiach polskich koniecznością strzeżenia mostów, linii kolejowych, magazynów, fabryk, tartaków, urzędów itp., w istocie „absentował" na froncie. A było takich bardzo wielu. Według dokładnych obliczeń naszych historyków polski ruch oporu i partyzantka zdołały związać (w zależności od okresu historycznego) od 400 tys. do miliona żołnierzy Wehrmachtu. Wśród jednostek okupujących ziemie polskie nie zabrakło całych dywizji rezerwowych (jak np. 174 dywizja drezdeńska), ani nawet większych zgrupowań frontowych (np. dywizja SS Viking). Do akcji przeciwpartyzanckich, ale także np. kontyngentowych, okupant musiał wprząc również artylerię, broń pancerną, a nawet lotnictwo (kilkanaście wsi oskarżonych o popieranie „band" lub w ogóle o oporność bombardowano przy pomocy samolotów nurkujących).

Polski ruch oporu zadawał okupantowi ogromne straty w ludziach i sprzęcie oraz w poważnej mierze utrudniał mu utrzymanie stałej więzi z frontem wschodnim, decydującym o losach całej wojny (przez Polskę biegła większość linii kolejowych i szos łączących Rzeszę z tym frontem). Według danych niemieckich na ziemiach polskich w latach 1940—1945 miało ogółem miejsce ponad 10 tysięcy różnego rodzaju napadów, akcji sabotażowych, zbrojnych, podpaleń, „rabunków" itp., w tym ok. 2300 akcji na transport (głównie „kolejówki"), 1500 na sieć łączności, ponad 8 tys. na obiekty gospodarcze, ok. 10 tys. na funkcjonariuszy okupanta. Wszystkie te akcje wywoływały różnorodne zakłócenia. Przede wszystkim na tysiące godzin przerywały ruch komunikacyjny na głównych magistralach zachód-wschód (biegło przez nie 75% zaopatrzenia wschodniego frontu). Częstotliwość tych akcja była duża. W 1943 roku wykonano ogółem 460 „kolejówek", a więc średnio 40 akcji każdego miesiąca. W 1944 roku (do 21 lipca) jedynie na obszarze pomiędzy Wisłą a Bugiem lubelskie oddziały partyzanckie dokonały ok. 550 akcji kolejowych.

Inną ważną płaszczyzną działania ruchu oporu był sabotaż gospodarczy. Wobec niemożliwości stosowania tak wypróbowanych metod jak strajki (okupant zwalczał je w sposób niesłychanie brutalny) robotnicy polscy, w dużej mierze inspirowani przez ruch oporu, stosowali ukryty sabotaż, polegający najczęściej na świadomym „bumelanctwie" (metoda „żółwia"), niszczeniu narzędzi pracy i maszyn, produkcji „fuszerek", ukrytym uszkadzaniu produktów. Działalność tego typu prowadzona była we wszystkich fabrykach, biurach i instytucjach, a jej wyniki nie dadzą się obliczyć.

Polskie organizacje konspiracyjne w 1941 roku stwierdzały szacunkowo, że na skutek sabotażu produkcja w zakładach spadła o 30%, że wykonano co najmniej 22 tys wadliwych pocisków artyleryjskich oraz że uszkodzono 543 parowozy i 22 samoloty. W 1942 roku podawano np. o zaklinowaniu 2 szybów naftowych, o wadliwym wykonaniu 70 tys. skorup do granatów, uszkodzeniu 480 parowozów i 2177 wagonów, o skażeniu 35 ton oliwy i że ogółem dokonano ok. 10 tys. poważniejszych sabotaży w produkcji. Źródła z okresu okupacji podają również wiele danych o technice sabotażowej stosowanej np. w parowozowniach w Dęblinie: systematycznie sypano piasek do panewek parowozów, uszkadzano niektóre elementy lokomotyw i wagonów, a nawet zakładano bomby termitowe o opóźnionym zapłonie. Wiadomo również, że ciągły sabotaż stosowany w Stalowej Woli doprowadził w efekcie do deficytu co najmniej trzech milionów sztuk amunicji, a planowane dostawy czołgów opóźnione zostały o dwa miesiące. Przykładów tego rodzaju można by podać wiele.

Z całą siłą uderzał ruch oporu w okupacyjny aparat rolniczy. Już w 1943 roku hitlerowcy przyznali, że zdołał on zniszczyć w centralnej części ziem polskich (obszar tzw. Generalnej Guberni) trzecią część całej dokumentacji kontyngentowej oraz urzędów pracy (Arbeitsamt). Zniszczeniu uległa również poważna część mleczarni, tartaków i magazynów zbożowych.

Szczególne miejsce w dziejach polskiej partyzantki zajmują stoczone bitwy. Pierwsza poważniejsza z nich to bohaterska akcja oddziałów Batalionów Chłopskich, broniących wysiedlanych wsi zamojskich. Rozegrała się ona 30 grudnia pod Wojdą i odbiła się głośnym echem w całym kraju. Pociągnęła za sobą cykl otwartych walk z hitlerowcami, które aparat okupanta uznał nawet za „zamojskie powstanie". Wzięły w nich udział wszystkie podziemne ugrupowania: Bataliony Chłopskie, Armia Krajowa oraz Gwardia Ludowa, a dołączyły, co ma wymiar symbolu, oddziały partyzantki radzieckiej. Walki stoczone przez te organizacje z przeważającymi siłami wroga w poważnej mierze przyczyniły się do załamania się planów wysiedlenia i zagłady Polaków nie tylko w tym regionie.

Rozwój oddziałów partyzanckich, ich koncentracje, zmasowane uderzenie na szczególnie ważne dla okupanta węzły komunikacyjne — wszystko to zmuszało okupanta do podejmowania wielkich operacji przeciwpartyzanckich, w toku których dochodziło właśnie do większych starć, potyczek a nawet bitew. Było ich wiele: pod Kochanami, Rębłowem, w Lasach Janowskich, w Puszczy Solskiej, w Lasach Parczewskich, pod Diablą Górą, koło Gruszki... We wszystkich tych operacjach obok sił policyjnych okupant zmuszony był użyć wielkich zgrupowań Wehrmachtu, sztabów, lotnictwa, broni pancernej, jednostek łączności itp., a mimo to właściwie w żadnej z nich nie zdołał osiągnąć zwycięstwa...

Do fenomenów polskiego ruchu oporu wpisać należy również jeszcze jedno zjawisko, mające zresztą już długą i piękną tradycję. Jest nim idea solidarności międzynarodowej wszystkich walczących o wolność, realizowana przez Polaków w myśl XIX-wiecznego hasła „Za naszą i waszą wolność". Według dotychczasowych ustaleń w europejskim ruchu oporu walczyło aż około 50 tysięcy Polaków, w tym: we Francji — 36 tys., w Związku Radzieckim — 12 tys., w Jugosławii — 1 tys., w Czechosłowacji — kilkuset, a pewne ilości w Grecji, Holandii, Danii, Norwegii, Włoszech i Albanii. Z drugiej strony — na ziemiach polskich lub w polskim ruchu oporu walczyli przedstawiciele aż 34 narodów, w tym ponad 8 tys. obywateli radzieckich, liczni Austriacy, Niemcy, Francuzi, Amerykanie, Czesi, Słowacy, Kanadyjczycy i Włosi. Najczęściej byli to uciekinierzy z obozów jenieckich i koncentracyjnych, zbiegowie z formacji niemieckich, strąceni nad Polską lotnicy, zrzutkowie itp., których ocalili Polacy. Bez względu na poglądy polityczne, narodowość czy przeszłość, byli oni chronieni przez ludność polską, otaczani opieką oraz kierowani do oddziałów partyzanckich, gdzie znajdowali najpewniejszą ochronę i możliwość walki.

POSTAWY

Ta postawa polskiego społeczeństwa przyczyniła się również walnie do sukcesów wielkich radzieckich zgrupowań partyzanckich, które od początku 1944 roku dokonywały długich rajdów na obszarach południowo-wschodniej Polski. Na wiosnę tego roku operowało tu ich ok dwudziestu, a wśród nich sławna I Ukraińska Dywizja Partyzancka im. S. Kowpaka pod dowództwem Piotra Werszyhory. Na drogach swojego marszu znajdowali oni zawsze pomoc, przewodników i ochotników, a także sprzyjające im polskie oddziały partyzanckie (szczególnie Armii Ludowej i Batalionów Chłopskich). Niektóre z oddziałów rajdowych razem z polskimi oddziałami partyzanckimi stoczyły wielkie bitwy partyzanckie, m.in. w Lasach Janowskich i Puszczy Solskiej. W toku tych wydarzeń umacniała się przyjaźń polsko-radziecka.

Wkład polskiego ruchu oporu do dziejów II wojny światowej jest poważny. Wiązał on przede wszystkim ogromne siły wroga, wyeliminował z walki prawdopodobnie ok. 150 tys. hitlerowskich żołnierzy i policjantów, ok. 2 tys transportów kolejowych, zniszczył ok. 200 parowozów i 20 tys. wagonów oraz 4,5 tys. samochodów Wiele świadczył na rzecz frontów w dziedzinie wywiadu. Jego dziełem było m.in. rozpracowanie sprawy V-1, ruchu transportów przebiegających na Wschód, dyslokacji wojsk nieprzyjaciela, fortyfikacji na Wiśle, w rejonie Śląska, a także Wału Pomorskiego.

Zbyt dużo kucharek w środowisku

Jerzy Dostatni

OFICJALNE dane o tym, ile pyłów — w nomenklaturze biurokratycznej nazywa się to „zanieczyszczeniami pyłowymi" — spada rocznie na obszar województwa lubelskiego, w pierwszej chwili u ludzi bardziej strachliwych mogą wywołać lekki zawrót głowy: 30 tysięcy ton! I chodzi tu tylko o pyły „produkowane" przez przemysł. Gdy pytałem o pyły z naszych mieszkań prywatnych, nikt nie chciał określić tej wielkości. Po prostu nikt tego nie bada, co należy uznać za ewidentne niedopatrzenie. Sprawa zaś nie wydaje się zbyt trudna do ustalenia, bo przecież na podstawie ilości węgla sprzedawanego osobom prywatnym (są tu bardzo dokładne wielkości) oraz spalanego przez te osoby drewna i torfu (są to ilości niewielkie) można dojść do jakiegoś względnie dokładnego szacunku.

Ale wracajmy do owych 30 tys. ton. (Dodajmy, że istniejące urządzenia odpylające zatrzymują 100 tys. ton). Dzieląc je przez obszar województwa (6792 kilometry kwadratowe), otrzymamy na jeden km kwadr. już tylko 4437 kilogramów rocznie, a dziennie 12,3 kg, a na metr kwadratowy dziennie — zaledwie 0,12 grama. Nie grozi nam więc uduszenie ani dzisiaj, ani w najbliższej przyszłości. Dla jasności dodajmy, że polska norma, opracowana przez fachowców z różnych dziedzin (lekarzy nie wyłączając), dopuszcza opad 250 ton na kilometr kwadratowy — a więc 56 razy wiecej, niż to notujemy u nas. I nawet owe pyły „prywatne" nie wprowadzą tu zasadniczych zmian.

Oczywiście — opady pyłów nie rozkładają się równomiernie. Największe ich zagęszczenie występuje w miastach uprzemysłowionych i to w bezpośrednim sąsiedztwie fabryk. Norma jest przekraczana tylko w kilku miejscach i to na bardzo malutkim obszarze, przy czym od kilku lat podejmuje się energiczne wysiłki i wykłada dużo pieniędzy, aby obniżyć zanylenie atmosfery. Notuje się już pozytywne efekty takich działań, np. w rejonie FSC.

Interesowały mnie jeszcze dwie miejscowości, które są na specjalnym statusie: Nałęczów i Kazimierz. W roku ubiegłym bardziej czyste powietrze było w Kazimierzu, przed dwoma laty w Nałęczowie, zresztą różnice są minimalne. W obu miejscowościach jednak opady pyłów wzrastają i wynoszą około 100 ton rocznie na kilometr kwadratowy. Kazimierzowi daleko jeszcze do górnej granicy normy (250 ton), gorzej jest z Nałęczowem. Jest to obszar uzdrowiskowy, specjalnie chroniony i według norm tu obowiązujących zapylenie jest zbyt duże, podobnie jak w wielu innych uzdrowiskach, nie tylko polskich. Po prostu dlatego, że określone dla takich miejscowości normy (w Polsce 40 ton rocznie na km kwadr.) są celem, do którego należy dążyć. Chyba nawet ten cel został określony zbyt surowo, ponieważ w kręgach fachowców mówi się coraz częściej o weryfikacji normy.

Kazimierz zapylany jest skutecznie nie tylko wskutek zimowego ogrzewania mieszkań, ale także przez czynne przez cały rok kuchnie domowe, karmiące tysiące wczasowiczów i turystów. Kuchnie przestarzałe, wykorzystujące tylko drobną część energii cieplnej węgla i równocześnie produkujące nadmierną ilość pyłów. Wiele mówiono niedawno o powszechnym zelektryfikowaniu pieców i kuchni w tym mieście. Ze względu na okresowe kłopoty z energią elektryczną rozsądnym i możliwym do szybkiego przeprowadzenia sposobem walki z pyłami jest szerokie zastosowanie gazu płynnego.

Trudniejsza sprawa z Nałeczowem. Od wielu lat pisze się o konieczności gazyfikcji tego uzdrowiska, co radykalnie poprawiłoby sytuację. Ponieważ jednak znane wszystkim przyczyny musiały skierować główny wysiłek inwestycyjny na inne dziedziny, nie wiadomo w tej chwili, na ile dawny projekt może być dzisiaj aktualny.

Natomiast faktem jest, że dolina Nałęczowa dość mocno zasypywana jest piaskiem z sąsiednich pagórków, nanoszonym przez wiatry. Nie znamy jeszcze sposobów ujarzmiania wiatrów. Jest natomiast sposób na to, aby zlikwidować nawiew pyłów piaskowych. Po prostu wszystkie łyse miejsca, nie wyłączając zboczy wąwozów, powinny być obsiane trawą i to na tyle gęstą, aby tworzyła ona swego rodzaju pancerz. Tymczasem poza parkiem zdrojowym i kilku działkami trawa rośnie dziko, nie jest pielęgnowana. W przeciwieństwie do kwiatów, które są wprawdzie ozdobą, ale prawie nie przeciwdziałają porywaniu ziemi przez wiatr.

Na instalowanie urządzeń odpylających w zakładach przemysłowych w poprzedniej pięciolatce wydano w województwie lubelskim (w obecnych granicach) 87 milionów złotych, na bieżącą planuje się 216, a więc niemal 2.5 razy więcej. Suma ta dotyczy tylko zakładów już istniejących. Rzeczą odpowiednich władz jest pilnowanie, aby każdy nowy zakład przemysłowy od samego początku posiadał urządzenia odpylające o wysokiej sprawności, co zresztą jest przewidziane w odpowiednich przepisach.

Okazuje się jednak, że znacznie bardziej kosztowna jest ochrona wód. Nakłady na ten cel w bieżącej pięciolatce wyniosą 1 750 tys. złotych. Ponad trzy czwarte tej sumy wyda Ministerstwo Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska, co wynika z zakresu jego działania. Ale prawie miliard złotych pochłonie dalsza budowa lubelskiej oczyszczalni ścieków. Obecnie istniejąca oczyszczalnia tylko w części spełnia swoje zadania. Po pierwsze jest to jedynie oczyszczalnia mechaniczna, a po drugie może ona przejąć tylko połowę ścieków, produkowanych przez nasze miasto. Stąd też powstała dosyć dziwna sytuacja. Wskutek różnych działań, administracyjnych i gospodarczych, czystość wody w Bystrzycy po-

Kamena str. 4

POLAKÓW (II)

Zygmunt Mańkowski

W walce tej polski ruch oporu poniósł ogromne straty. Szacuje się je na ok. 100 tys. osób (w samym powstaniu warszawskim ok. 15 tys. bojowników). Była to ofiara bolesna, ale konieczna i uzasadniona. Każdy cios zadany okupantowi przyspieszał chwilę wyzwolenia, a każdego dnia w Polsce, bez związku z oporem, ginęło przecież z rąk okupanta ok. 3 tys. polskich obywateli. Rację więc mieli ci, którzy twierdzili, że wróg cofa się tylko przed siłą.

Snując dziś refleksje na temat doświadczeń narodowych w latach okupacji, nie powinniśmy omijać też spraw drażliwych. Okres ten był szkołą politycznego myślenia Polaków. Wiele mogliśmy się w tej mierze nauczyć i wiele nauczyliśmy się. Lata wojny i okupacji były okresem wielkiej polaryzacji postaw politycznych. Gorzkie doświadczenia lat międzywojennych i wrześniowych dni postawiły przed całym narodem pytanie: co zrobić, aby już nigdy więcej nie powtórzył się rok 1939? Owocem rozmyślań na ten temat był gwałtowny proces radykalizacji społecznej, jaki ogarnął szerokie kręgi mieszkańców miast i wsi. Powszechnie szukano nowych rozwiązań w dziedzinie społeczno-ustrojowej, granic, polityki zagranicznej itp.

Nie wszyscy jednak skłonni byli do wyciągnięcia właściwych wniosków z gorzkich doświadczeń. W efekcie mimo biologicznego zagrożenia wystąpiły w społeczeństwie polskim przejawy głębokiej dezintegracji politycznej i to o rozmiarach bezprecedensowych w historii innych okupowanych państw Europy. Uderza nas przede wszystkim fakt nieuznania, wbrew precedensom występującym w europejskich krajach burżuazyjno-demokratycznych, partii komunistycznej za część składową opinii publicznej. Było to zjawisko wysoce anachroniczne i bezsensowne. Obóz londyński (a wchodziły w jego skład takie partie jak: Stronnictwo Ludowe, Polska Partia Socjalistyczna, Stronnictwo Pracy i Stronnictwo Narodowe) do końca okupacji traktował Polską Partię Robotniczą jako „agenturę", wykładnik „obcych dążeń" itp. A przecież partia ta stanęła twardo na gruncie walki o narodowe wyzwolenie, była głęboko patriotyczną i gotową do niezbędnych kompromisów. W 1942 roku rzuciła hasło zjednoczenia wszystkich patriotycznych sił do samoobrony i walki o wyzwolenie, i zgodnie z tym, wysuwała programy w duchu demokratycznym, przywiązując zasadniczą wagę do polskich tradycji, aspiracji narodowych i konkretnych możliwości. Jej program reform odpowiadał w pełni racji stanu i rzeczywiście dawał szansę wyprowadzenia kraju z głębokiego impasu, w jakim znalazł się na skutek dotychczasowej błędnej doktryny politycznej klas posiadających. Zacietrzewienie polskich sił zachowawczych doprowadziło jednak mimo wszystko do głębokiego rozbicia narodu. W 1943 roku doszło nawet do przejawów walk bratobójczych. Są to sprawy gorzkie. Spróbujmy je nieco uporządkować.

Polski ruch oporu w ogóle charakteryzuje się nadmierną tendencją do atomizacji. Sporządzona po latach kartoteka polskich organizacji konspiracyjnych liczy aż kilkaset pozycji. O ile jednak w odniesieniu do pierwszych miesięcy okupacji powstanie tylu różnych inicjatyw konspiracyjnych było uzasadnione, a nawet godne podziwu, bowiem przejawiły się w nich spontaniczność, samorzutność, patriotyzm, niepokorność itp. — to ta dezintegracja w dalszych okresach dziejów może i powinna budzić pewne refleksje o charakterze krytycznym. Nie ma dziś wątpliwości, że Polska podziemna traciła za wiele sił i czasu na wewnętrzne konflikty i spory. Przykładem tego może być np. prowadzona przez obóz londyński akcja scaleniowa, która wyraźnie przyczyniła się do spadku aktywności bojowej Batalionów Chłopskich, pochłoniętych przez długie miesiące 1943 i 1944 roku „wymykaniem się" z prób pełnego wcielenia ich w szeregi AK. Nieustanne konflikty w obozie londyńskim wybuchały na tle obsady delegatur lub dowództw scalonej armii, nie mówiąc już o problemach wizji przyszłej Polski, co do których rysowały się w obrębie tego obozu znaczne różnice.

Istotnym również był fakt narzucenia przez kierownictwo całemu obozowi londyńskiemu taktyki zbrojnej w walce z okupantem określanej mianem ograniczonej. Zakładała ona położenie głównego akcentu nie na walce bieżącej, ale przygotowaniu się do powstania powszechnego, które wybuchnąć miało „na rozkaz" w chwili wkraczania aliantów zachodnich na ziemie polskie. Sprawie tej Armia Krajowa już od 1940 roku poświęcała większość swych sił.

Rozwój sytuacji na frontach wojny przekreślił ten daremny wysiłek. Sukcesy uzyskane przez Armię Radziecką w połowie 1943 roku wyraźnie wskazywały (i to przewidywała realistycznie PPR), że wolność przyjdzie „ze wschodu". I wówczas obóz londyński w istocie nie cofnął się ze swego błędnego stanowiska, wysuwając w miejsce planu „A" (powstanie zbrojne) plan „B", którego głównym celem nie miało być udzielanie pomocy wkraczającej Armii Czerwonej, ale swoista demonstracja polityczna o wyraźnie antyradzieckich akcentach. Chodziło tu już tylko o uchwycenie władzy i to wbrew nowemu układowi sił politycznych na arenie międzynarodowej i w kraju (rosnąca rola Związku Radzieckiego, wzrost procesów radykalizacyjnych w polskim społeczeństwie). Bierność, wyczekiwanie na „szczęśliwy" dla obozu londyńskiego rozwój sytuacji politycznej, nadmierne przywiązywanie uwagi do spraw natury politycznej — wszystko to z punktu widzenia doświadczeń i praktyki nie było właściwym rozwiązaniem. W tym zasadniczym sporze rację miała Polska Partia Robotnicza, rzucająca hasło bezwzględnej walki z okupantem i maksymalnych świadczeń na rzecz frontu wschodniego.

W polskiej tradycji historycznej problem wyboru określonej taktyki walki z zaborcą był zawsze zdeterminowany czynnikami klasowymi. Hasła walki bezwzględnej i powszechnego uzbrojenia ludu lansowały nieodmiennie ugrupowania o charakterze ludowo-demokratyczno-rewolucyjnym. Hasła wyczekiwania na wyzwolenie z zewnątrz oraz tendencje do operowania tylko „zreglamentowanymi" siłami — charakteryzowały zawsze ugrupowania zachowawczo-konserwatywne.

Pod koniec okupacji na skutek nieprzejednanej postawy obozu zachowawczego nie doszło w podziemiu antyhitlerowskim do aliansu (na wzór Francji czy Jugosławii) wszystkich patriotycznych sił. Powstały dwa obozy polityczne: demokratyczno-rewolucyjny na czele z Polską Partią Robotniczą oraz „londyński", kierowany przez rząd na emigracji i jego ekspozytury w kraju.

Sprawa konfliktu politycznego w podziemiu, analiza jego racji, dążeń i postaw może stać się dobrą okazją do nauki racjonalnego i realistycznego myślenia dla obecnych i przyszłych pokoleń.

Moim zadaniem nie było wyczerpujące potraktowanie tematu. Posiadamy już dzisiaj liczną, zwartą i pogłębioną literaturę w tym przedmiocie. Liczba faktografii, refleksji i osądów stale rośnie. Istotne jest jednak, aby na tej podstawie wyrobić sobie już dziś własny pogłębiony osąd o charakterze generalizującym, aby współczesnemu pokoleniu przekazać najistotniejsze doświadczenia i wartości.

Patrząc z tego punktu widzenia na postawy i czyny naszego narodu w okresie II wojny światowej, na czoło wysuńmy jednak stwierdzenie, że naród nasz zdał w tym okresie swój wielki egzamin dziejowy, że jego postawa może nas dzisiaj napawać dumą i szacunkiem. Mimo dotkliwej klęski poniesionej w 1939 roku nie popadł on w apatię czy defetyzm. W swej decydującej masie spontanicznie i żywiołowo stanął na gruncie oporu i walki, wypracował cały system samoobrony, przeciwdziałania, niepokorności i walki o wyzwolenie. W ciągu 2 tysięcy dni II wojny nie było ani jednego, w którym by zabrakło na którymś z frontów, na morzu i w powietrzu, w kraju i za granicą, polskich żołnierzy i partyzantów.

Faktem jest, że mimo niezwykle utrudnionych warunków działania wkład Polaków do dziejów tej wojny jest imponujący i sytuuje Polskę w zakresie wysiłku zbrojnego na czwartym miejscu w świecie. W dziejach europejskiego antyhitlerowskiego ruchu oporu zajęliśmy na pewno trzecie miejsce, wyłaniając jeden z najliczniejszych, a także najbitniejszych frontów podziemnej walki (szczególna zasługa w tym lewicy). W toku tego wielkiego starcia dojrzały w Polsce siły polskiej lewicy i pogłębiły się procesy radykalizacyjne, umożliwiające dokonanie w dziejach naszego narodu i państwa zasadniczego zwrotu. Do władzy doszły siły społeczne dotąd odpychanie i tłumione. W efekcie wyszliśmy z wojny zwycięsko, utorowaliśmy sobie drogę do nowych, właściwych dla naszej racji stanu granic, przebudowaliśmy strukturę państwa w duchu tendencji, ku której zmierza świat, weszliśmy w układy międzynarodowe, które gwarantują nam bezpieczeństwo i możliwość pełnego narodowego rozwoju.

---

wyżej ujścia ścieków stale się poprawia i nawet jest nadzieja, że za jakieś pięć lat będzie tam można, w granicach miasta, znów łowić ryby. Przyczynia się do tego także Zalew Zemborzycki o coraz silniej rozwijającym się życiu biologicznym, co prowadzi do samooczyszczania się w nim wody. Natomiast poniżej ujścia ścieków sytuacja się pogarsza i tak chyba będzie do czasu uruchomienia tej nowej, już mechaniczno-biologicznej oczyszczalni.

Przeciętna sytuacja w województwie jest natomiast lepsza niż w samym Lublinie. Jak podaje Rocznik Statystyczny WUS, w roku 1975 w całym województwie było 68 milionów metrów sześciennych ścieków wymagających oczyszczania, oczyszczono natomiast 45 milionów, a więc ponad 66 procent. Jednak biologicznie i chemicznie tylko 15 mln m sześć., stąd też problem jest nadal aktualny. W tych dziedzinach najwięcej szkód powodują ścieki z zakładów przemysłu spożywczego, nic więc dziwnego, że resort ten na ochronę wód — a mówiąc wprost: na budowę odpowiednich oczyszczalni — wyda w bieżącej pięciolatce 354 mln zł. Ogółem wybuduje się 19 oczyszczalni, otrzymają je m. in. Puławy, Kraśnik, Bełżyce, Poniatowa i zakłady owocowo-warzywne w Milejowie. W latach 1971—1975 wybudowano 14 oczyszczalni, m. in. w Nałęczowie, co już znacznie poprawiło warunki w tym uzdrowisku. Można to nawet wywąchać — bez żadnej przesady — koło stawu w parku zdrojowym.

Ścieki, wcale lub tylko mechanicznie oczyszczane, odprowadzane są do rzek. Nic więc dziwnego, że na 280 km przebadanych rzek nie znaleziono ani jednego kilometra, który można by pod względem czystości zakwalifikować do I klasy. Chodzi tu o wodę, która nadawałaby się do picia, bezpośredniego użycia jako komponent produkcji, czy chociażby hodowli ryb łososiowatych. Pociechą, dosyć zresztą smętną, jest fakt, że podobnie jest w całej Europie. Opiewana przez poetów i piosenkarzy Sekwana jest tak doskonałym ściekiem, że mimo zastosowania najnowszych osiągnięć nauki w dziedzinie oczyszczania Paryż nie może z niej zaczerpnąć

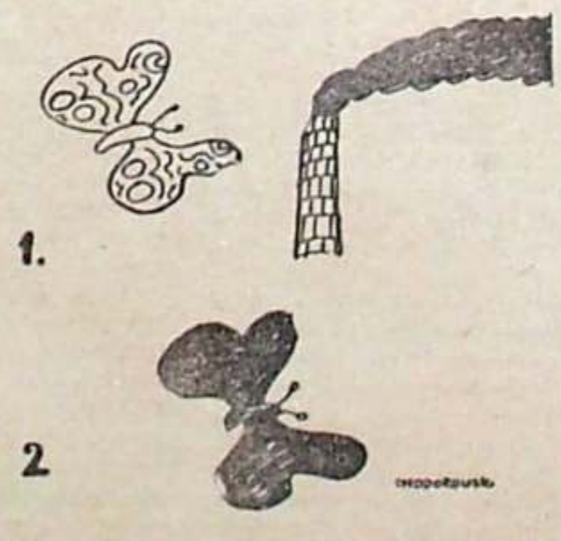

Rys. Antoni Chodorowski

nawet litra wody do swoich wodociągów.

Sytuacja w klasie II, a więc wody nadającej się do hodowli ryb (z wyjątkiem łososiowatych), zwierząt gospodarskich oraz do celów rekreacyjnych, też nie jest wesoła. W okresie, gdy pracują cukrownie i inne zakłady przemysłu spożywczego, doliczono się zaledwie pół kilometra rzek z taką wodą. Gdy zakłady te zakończą kampanię, sytuacja poprawia się na dalszych 22 kilometrach. Prawie 60 km rzek (z owych badanych 280 km) przekracza wszelkie dopuszczalne normy. Po prostu są to ścieki, a nie rzeki.

W sumie więc robi się dużo dla ochrony środowiska, zwłaszcza powietrza i wody, robi się coraz więcej, zaległości maleją. Ale zarówno rozbudowujący się przemysł, jak również nasza własna lekkomyślność, by nie napisać niechlujstwo, wciąż zwiększają ogrom zadań.

Zbierając te wszystkie materiały musiałem się kontaktować z następującymi instytucjami: Instytutem Kształtowania Środowiska, Wojewódzką Stacją Sanitarno-Epidemiologiczną, Ośrodkiem Badań i Kontroli Środowiska Urzędu Wojewódzkiego oraz laboratorium Wojewódzkiego Zjednoczenia Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Dodajmy jeszcze, że w dużych zakładach przemysłowych istnieją specjalne służby ochrony środowiska, podległe swoim resortom, a nie dotknąłem nawet problemów związanych z melioracją, która podlega jeszcze innemu ministerstwu.

Jak widać, kucharek jest więcej niż sześć. Wbrew intencji starego przysłowia efekty są, nie znaczy to jednak, że nie mogłyby one być większe, gdyby całość spraw związanych z ochroną środowiska znalazła się w ręku jednego gestora. Nie chodzi mi o to, aby stworzyć jeden olbrzymi aparat, ale o to, aby ktoś to wszystko koordynował na szczeblu wojewódzkim i miał tu głos decydujący. Aby działano nie tylko na własnym, mniej lub więcej wąskim odcinku.

W dotychczasowym układzie doszło do sytuacji, która postronnemu obserwatorowi wydaje się paradoksalna. Otóż jeżeli chodzi np. o natężenie hałasu, sytuację wewnątrz hali fabrycznej bada Sanepid, natomiast poza murami już wojewódzki Ośrodek Badań. Zawartość tego, co ulatnia się z kominów, nazywanych oficjalnie emitorami, analizuje Ośrodek Badań, natomiast to, co z tego spada na ziemię — znów Sanepid. Obie placówki mogą kontrolować pracę laboratoriów, istniejących przy większych jednostkach gospodarki komunalnej, ale w praktyce najważniejszy głos ma tutaj centralne laboratorium Wojewódzkiego Zjednoczenia. Sprawę wysypisk uzgadnia się na zasadzie dobrej woli, do niedawna kto był pierwszy, ten lepszy (gorszy?). Podczas gdy pod koniec stycznia jedna placówka operowała już danymi za rok 1976, inna miała na ten sam temat dane z roku 1975, które znów nie bardzo zgadzały się z danymi za ten sam okres, zgromadzonymi w pierwszej.

To prawda, że pokazywano mi projekt porozumienia, jakie mają podpisać ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej oraz Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska. Kiedy projekt zamieni się w odpowiednie zarządzenia, nie wiadomo. Ja osobiście zresztą uważałbym to za pierwszy krok w rozwiązaniu całego problemu.

Mówi się także o projekcie ustawy, która ochronie środowiska nadałaby rangę najwyższego aktu prawnego. Ale żaden z moich rozmówców tego projektu jeszcze nie widział. Na dzisiaj muszą wystarczyć akty prawne innego rodzaju, a jest ich — jak ktoś policzył — ponad 140.

Orientowanie się w zawiłościach tych przepisów nie jest łatwe, a równocześnie ich mnogość oraz możliwość znalezienia różnych interpretacji powodują, że np. zatruwacze wód z reguły ponoszą nikłe konsekwencje, jeżeli nie liczyć odszkodowań, płaconych przez przedsiębiorstwa. A przecież art. 122 p. 1 ustawy o prawie wodnym powiada: „Kto szkodliwie zanieczyszcza wody podlega karze pozbawienia wolności do lat 5 i grzywny", a w p. 2: „Kto wbrew ciążącemu na nim obowiązkowi nie utrzymuje lub nie eksploatuje urządzeń zabezpieczających wody przed zanieczyszczeniem podlega karze pozbawienia wolności do lat 3 i grzywny do 50 tys. zł". Kogo, biorąc pod uwagę nawet dawne województwo lubelskie, ukarano chociaż połową tych kar? A rzeki były przecież zatruwane wielokrotnie.

Kamena str. 5

CZARY CZY FILOLOGIA?

Eugeniusz Gołębiowski

OD wielu już lat poloniści toczą zawiły spór o „Wielką improwizację", a mianowicie, o to, jak ona powstała — samoistnie, czy jako ciąg dalszy początkowych partii „Dziadów cz. III"? Ostatnio przeważa pogląd drugi. Niestety — wbrew Mickiewiczowi Jest więc o czym pogawędzić

Rękopis dramatu drezdeńskiego, „kórnicki", nie ma paginacji z wyjątkiem kart obejmujących „Wielką improwizację" I tu pytanie: po co miałby poeta brać się w głębi utworu do paginowania kilku kart? (A nie jest to numerowanie dorywcze, od niechcenia poeta ustalał je dwukrotnie).

Rękopis ma górne marginesy o różnych szerokościach, najwęższe z nich po 5 mm, ale tylko w dwu miejscach Pierwsze zwężenie powstało z powodu wstawki („Amen za was"), a drugie jest właśnie w górnym marginesie „W improwizacji" I znów pytanie: czyżby na cá 120 stronic tekstu powstał taki wyjątek bez ważnej przyczyny? Oczywiście — przyczyna była Owo zwężenie powstało dlatego, że poeta dopisał do gotowego już tekstu sceniczny nagłówek (Vide foto) A i litery w owym nagłówku są mniejsze i mniej wyraźne niż te w kolumnie wierszowej I wniosek: słowa „Konrad po długim milczeniu" informują, że mamy tu do czynienia z tekstem scenicznym, a są w rękopisie i inne dopiski dramaturgiczne, co znaczy, że „improwizacja", będąca pierwotnie tworem lirycznym, przerobiona została na tekst dramatyczny

I jeszcze W nagłówku „W. i." czytamy: „Gustaw", „Improwizacja w kozie", „Obacz w książeczce", „Konrad po długim milczeniu" Wszystko to poeta ścieśnił i zbił na jednym poziomie (foto). Po

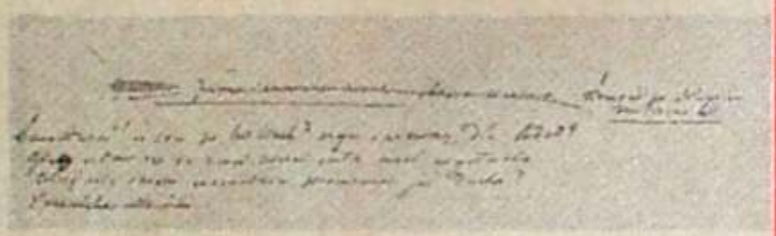

co to było? Mieć tabulam rasam i pracować w ciasnocie? Jest jasne, że nie doszłoby do tego, gdyby „W i." powstała jako ciąg dalszy rozwijającego się dramatu Mało tego

Jest taki usus w dramaturgii, że autorzy określają miejsca akcji na początku utworu i wszędzie tam, gdzie miejsca te się zmieniają. Poeta napisał „Improwizacja w kozie" Gdybyśmy więc przyjęli, że improwizacje poprzedziła scena dziejąca się w więzieniu, powstałaby zagadka: po co ta koza? Było tak: poeta skomponował „W i." i przepisał ją, po czym, postanowiwszy umiejscowić ją w więzieniu, wprowadził do jej nagłówka ową „kozę" — prowizorium Później, gdy już zaistniała scena więzienna, a w niej informacja „Wchodzą do celi Konrada" — „koza" była już niepotrzebna.

W archiwum Biblioteki Polskiej w Paryżu jest zeszycik — brulion (rkp 14) nazwany przez poetę „książeczką" Mieszczą się tam m in. szczątkowe bruliony „Dziadów cz III" i oddzielnie wiersz zwany „Mała improwizacja" (Walka z Krukiem). Pisząc w nagłówku „W i." „Obacz w książeczce", miał poeta na myśli ową „Małą improwizację". Stąd uwaga umieszczona przed jej tekstem: „Do improwizacji, przed mała improwizacją". I co się okazuje? Otóż owa „Mała improwizacja" dzieje się wobec „całego tłumu" Ale w tekście kórnickim nie ma już owego „tłumu" Rzecz zrozumiała — w celi więziennej nie ma tłumów.

A kiedy powstały tamte bruliony? W „Wielkiej improwizacji" bohaterem jest najpierw autor („liryczne „ja"), potem Gustaw, w końcu Konrad. W „książeczce" występuje Konrad. Gdybyśmy więc przyjęli, że pierwotna „W. i." to ciąg dalszy tamtych brulionów, powstałby dziwoląg: „Obiit Conradus, natus est Gustavus".

W jednej z rozpraw na niniejszy temat napisano: „Dość zwrócić uwagę na zakończenie („W. i."), na zamykające monolog słowo Diabła; jeśli nawet dopisane później, zastępuje ono pierwotną aposiopesis uwarunkowane tokiem myśli, a nawet w brzmieniu swym narzucone przez rym, wchodzi przecież organicznie w pierwiastkowa strukturę utworu, przynależy do pierwszego jego odlewu. Czyż to miałoby być naprawdę zakończenie utworu w sensie absolutnym? Utworu samoistnego? Czy zawarte tam bluźnierstwo nie domaga się jak najkonieczniej dalszych ogniw toku dramatycznego? Czy nie mieści zalążka konfliktu? Ten jeden wzgląd dowodziłby dostatecznie, że „Wielka improwizacja" od razu powstała nie jako całość odrębna i samoistna, ale jako człon upodrzędniony całości nadrzędnej, rzutowanej znacznie szerzej."

A więc warunek, bez którego ani rusz. Było bluźnierstwo, musiały nastąpić egzorcyzmy.

A co sądził o tym Mickiewicz-filolog?

W przedmowie do przekładu francuskiego „Dziadów cz. III" (1834) napisał: „Owe egzorcyzmy, owe wyrażenia obrzędowe i sakramentalne (...) wszystko to mocno razi nasze przywyknienia literackie i dramatyczne".

Innymi słowy: co kto lubi.

Homo-Homini Fot. Marek A. Karewicz

Spalam się szybko

NA temat tego, co się dzieje w naszej rozrywce, wypowiadają się najczęściej publicyści, rzadko natomiast muzycy. Dziś więc udzielamy głosu weteranowi polskiego beatu — Aleksandrowi Nowackiemu, kierownikowi muzycznemu grupy Homo-Homini.

— Moja znajomość z piosenką i młodzieżową estradą liczy już 16 lat To dużo jeśli chodzi o staż muzyczny, mało jeżeli weźmiemy pod uwagę zmieniającą się również w piosence modę. Moda na dany styl przemija i tylko ciągłe trzymanie ręki na pulsie pozwala pozostać „na fali" Kto zechciałby dziś grać muzykę podobną w stylu do twórczości nie istniejących już wrocławskich Nastolatków, bez uszczerbku dla swej kariery? Wprawdzie pierwsze kroki w muzycznej edukacji stawiałem w 1960 roku z Czerwono-Czarnymi, ale już w roku 1962 założyłem własną grupę — wspomniane Nastolatki. Graliśmy łatwiutkie kawałki własnej twórczości, czasem standardy rock and rollowe i byliśmy przez cały czas amatorami Razem z tym zespołem wystąpiłem na I Festiwalu Muzyki Nastolatków w Sopocie i otrzymałem nagrodę za tekst i interpretację. Zwyciężyli wówczas Skaldowie.

Kiedy rozpocząłem pisanie piosenek? Jeszcze w 1963 r. Było to „dzieło" w pełni amatorskie. Sam napisałem tekst i muzykę, sam też piosenkę wykonywałem. Jednak młodzieńcza fascynacja rock and rollem z czasem zanikła. Nastolatki zwykłą koleją rzeczy rozpadły się, a ja zająłem się nauką. Zawodowo wystąpiłem w roli muzyka dopiero w 1969 r. Były szef Alibabek, Juliusz Loranc, poszukiwał młodych ludzi do tworzonego właśnie zespołu Powstała wtedy grupa Quorum Działaliśmy najczęściej w Warszawie i tu spotkałem gitarzystę Andrzeja Krupińskiego, ex-muzyka zespołu High-Life. Znaleźliśmy szybko wspólny język i postanowiliśmy stworzyć własną grupę. Ale do tego nie doszło. Kiedy w 1971 roku Quorum rozpadło się, odnalazłem Andrzeja i doszliśmy do porozumienia z Alibabkami. One nie miały grupy towarzyszącej a my zatrudnienia Praca z Alibabkami nie należała do łatwych. Dziewczęta wiele nagrywały, ciągle podróżowały, a my z nimi. Te kilka lat były dla mnie prawdziwą szkołą życia Pracowałem w grupie instrumentalnej jako muzyk, wokalista, konferansjer i akustyk.

Zarabiałem nieźle, ale ciągle nie zadowalała mnie ta praca. Marzyłem o własnej grupie. Jej powstanie było jednak przypadkowe. Kiedyś kierownik Alibabek, Bolesław Krasucki zaproponował nam kilkumiesięczny wyjazd do Złotych Piasków, gdzie mieliśmy śpiewać dla zagranicznych turystów Na miejscu okazało się, że dziewczęta nie wypełnia całego programu, należało więc coś naprędce wymyśleć. Wtedy to narodziła się wokalna grupa męska, będąca przeciwwagą Alibabek Trio składało się z Andrzeja Krupińskiego, Tadeusza Woźniaka i mnie. Śpiewaliśmy ballady country i standardy, które utkwiły nam w pamięci, bo przecież nut nie było. W pośpiechu sklecony zespół spodobał się, więc chcieliśmy kontynuować jego działalność po powrocie do kraju. Woźniak jednak szybko się wycofał w obawie utraty pozycji czołowego barda z gitarą. Mnie zaś nie pozostało nic innego, jak ściągnąć z Wrocławia „konkurenta" — Waldemara Domagałę z tamtejszego Elaru. Grupa więc istniała. Każdy z nas miał bagaż doświadczeń, pozostawało jeszcze ustalenie jakiejś koncepcji twórczej.

Postawiliśmy na jedną kartę: albo przebijemy się, albo zwiniemy manatki i damy spokój muzyce. Zdecydowaliśmy się na muzykę country, choć żaden z nas poprzednio nie grał takiej muzyki, a nawet na wymaganym przez ten styl instrumencie. Trzeba więc było zabrać się do intensywnej nauki. Próby trwały aż osiem miesięcy i to po kilka godzin dziennie. Zespół nazwaliśmy z łacińska Homo-Homini, bo nic lepszego nie przychodziło akurat do głowy Zakupiliśmy instrumenty, na których gramy do dzisiaj Kupiłem wówczas w komisie stary, czeski model gitary hawajskiej za całe 800 zł Lata płyną, a ja wciąż na niej gram Oczywiście chciałbym mieć nowoczesną aparaturę Od kilku lat marzy mi się seel-gitar, na której można wygrywać cuda. Ale nie mogłem dotąd zdobyć się na taki zakup, bo wciąż brakowało gotówki Teraz sprzedałem samochód, by móc wreszcie kupić tę gitarę

Utarła się u nas dziwna opinia, że muzyk śpi na forsie i nie ma co z nią zrobić To straszna bujda. Zarabiam zupełnie przeciętnie, o czym chociażby świadczy fakt, że przez tyle lat nie mogłem sobie pozwolić na zakup instrumentu Na pomoc nie można znikąd liczyć Kto zresztą pomoże muzykowi zakupić zachodnią aparaturę i za jakie pieniądze?

Publiczność domaga się wciąż nowych przebojów i trzeba jej ciągle dostarczać czegoś interesującego. Tylko kiedy coś napisać, jeśli trzy czwarte miesiąca spędza się „na trasie"? Mnie to przeszkadza. Człowiek daje dwa razy dziennie z siebie wszystko, spalając się dosyć szybko Po każdym dłuższym tournée czuję wstręt do instrumentu, chciałbym odpocząć, a tu trzeba opracowywać nowy repertuar. W pogoni za przebojem traci się sens działania, przeżywa wewnętrzne stressy, czasem załamuje. Nerwicowa praca, nieregularny tryb życia i ciągłe mieszkanie w hotelach nie sprzyja ani dobremu samopoczuciu, ani własnemu rozwojowi. Większość naszych piosenek powstaje, niestety, w hotelach, a w przypadkowych, często nie ogrzewanych zimą salkach gdzieś w Polsce robimy próby i opracowania nowego repertuaru Inaczej bowiem musielibyśmy miesiąc grać, a miesiąc odpoczywać, na co żadna „Estrada" nie zechce się zgodzić Muzyk, który nie przynosi dochodów instytucji, jest niepotrzebny i traktowany niczym intruz

Koncerty są też dla wykonawcy jedyną możliwością zdobycia finansów Za nagranie płytowe otrzymujemy niskie stawki W końcu jak często nagrywa się płytę? Do tej pory Homo-Homini nagrało ich trzy. Przygotowujemy się do nagrania czwartej.

Polska muzyka rockowa przeżywa od kilku lat pewną stagnację. Wydaje mi się, że jest to po części spowodowane ciągłą wędrówką muzyków z zespołu do zespołu Dla muzyka-klezmera nie jest żadnym zmartwieniem myśl gdzie będzie grał jutro. Nie spodoba mu się kierownik jednej grupy, to pójdzie do innej, obniżając systematycznie loty sobie i kolegom aż zupełnie zejdą oni na psy Gdyby w jakiś sposób zahamować tę migrację, mielibyśmy znacznie wyższy poziom.

Podał do druku
Istvan Grabowski

PYŁY • KADRA • INWESTYCJE

Z PREZYDENTEM CHEŁMA

DANIELEM HANEM

rozmawia

Maciej Podgórski

— Panie Prezydencie, przeprowadzam wywiady z prezydentami miast wojewódzkich makroregionu środkowo-wschodniego. Usiłuję wyłapać głównie sprawy kłopotliwe, bo na nich można się czegoś nauczyć.

— Proszę bardzo.

— Oglądałem niedawno mapę, na której zaznaczone były rejony Polski o największym zanieczyszczeniu powietrza. Chełm, obok części Śląska, widnieje tam jako obszar szczególnie zagrożony. Wygląda, że kwestia jest poważna.

— Wiem o istnieniu tej mapy.

— Kto by pomyślał: w sielskim Chełmie taka sytuacja! To cementownia truje atmosferę i czym?

— Kombinat cementowy Chełm-Rejowiec, pyłami i gazami. Sprawa się ciągnie przynajmniej od 74 roku...

— Kiedy Pan jeszcze nie był prezydentem, a Chełm miastem wojewódzkim.

— Wówczas już kombinat był zobligowany do realizacji określonego programu ochrony środowiska, potem to wszystko weszło w nowe układy administracyjne.

— Jedni kazali, inni rozliczają. Przemysł zresztą w ogóle niechętnie widzi takie programy, gdyż chodzi o inwestycje pozaprodukcyjne. Czy kombinat się wywiązał?

— Nie całkiem. Tu istnieją dwie sprawy: urządzenia unieszkodliwiające pyły i gazy u źródła, czyli w samym kombinacie, oraz pasmo stref ochronnych wokół zakładów, czyli tereny zielone, gdzie nie mieszkaliby ani pracowali ludzie.

— Co zostało dokonane?

— Na początku listopada 75 roku odbyła się narada zainteresowanych. Ustaliliśmy, że należy wreszcie porządnie zbadać całe zagadnienie. Zorientować się, jak szerokich potrzeba stref ochronnych, ilu ludzi wykwaterować z zagrożonych bezpośrednio terenów. Tym wszystkim zajmie się warszawski Instytut Kształtowania Środowiska. Koszta w połowie pokryje kombinat, a w połowie miasto.

— To znaczy: koszta badań. A konkretne przedsięwzięcia na dziś, żeby zapobiegać zapyleniu miasta?

— Przyjęto do natychmiastowej realizacji projekt strefy ochronnej szerokości kilometra jako pewne minimum.

— I?

— Kombinat jeszcze nie potwierdził realizacji.

— Co Pan może jako prezydent w takim układzie?

— Ukarać dyrektora grzywną, choć nie wiadomo, czy zdołałbym ją wyegzekwować...

— W Chełmie istnieje kilka inwestycji, które przedłużając się, psują krew ludziom. Przynajmniej takie jest odczucie miejscowej społeczności. Weźmy chociażby budowę wiaduktu, obwodnicy.

— Tutaj akurat odczucie społeczne nie pokrywa się z rzeczywistością. „Sztandar Ludu" atakował nas za powolne tempo prac przy wiadukcie. Tymczasem prawda jest taka, że właśnie obie te inwestycje idą bardzo dobrze, sam zaś wiadukt ma aż roczne wyprzedzenie i z tym wyprzedzeniem zostanie oddany do użytku już w kwietniu bieżącego roku. Odcinek obwodnicy jest w użytkowaniu.

— Może planowane cykle inwestycyjne były w obu wypadkach za długie? Ponadto nie przekona mnie Pan, iż budowa bardzo potrzebnego Chełmowi hotelu, pod wezwaniem „Kamena" zresztą, idzie dobrze.

— Cykle podporządkowane są mocom produkcyjnym, moce zaś nastawione głównie na budownictwo mieszkaniowe. Generalnie i tak istnieje, mówiąc językiem fachowym, przewieszka zleceń w stosunku do planów. Hotel, faktycznie, nieco opóźniony i z przeszło półrocznym opóźnieniem będzie otwarty.

— Słyszałem, że sławetne podziemia chełmskie, odrestaurowane nie tak dawno kosztem około 40 milionów złotych i przekazane do zwiedzania, zostały zamknięte, bo po prostu się walą! Smutna sprawa.

— Tak jest, smutna sprawa. Restauracją podziemi zajmowało się Przedsiębiorstwo Robót Górniczych z Mysłowic. To, które buduje kopalnię w Bogdance. W myśl przepisów resortowych, na tego rodzaju prace restauracyjne nie ma okresu gwarancji. No i bieda. Ostatnio, za zgodą swego resortu, PRG dokonało inwentaryzacji uszkodzeń i jeszcze w tym kwartale ma przystąpić do ponownego remontu.

— Kosztem?

— Około półtora miliona złotych.

— Starówka chełmska też domaga się remontu, co gołym okiem widać.

— To odległa perspektywa. Będziemy zadowoleni, jeśli do końca roku „Inwestprojekt" wespół z lubelską PKZ przygotują program zagospodarowania starówki, a sama PKZ powoła w Chełmie swój oddział, któremu gwarantujemy przekazanie jednej z zabytkowych kamienic od zaraz.

— Panie Prezydencie, nie należę do ludzi, którzy spodziewają się rychłego powstania w nowych miastach wojewódzkich takich instytucji jak teatr, filharmonia czy operetka. Jedno wszak w Chełmie wydaje mi się uzasadnione już dziś. Muzeum regionalne zainicjowało przed laty, funkcjonującą zresztą nadal, „Galerię 72", eksponującą prace plastyczne najwybitniejszych polskich artystów. Myślę, że ta piękna tradycja domaga się rychłego powstania Biura Wystaw Artystycznych w Chełmie.

Fot. J. Trembecki

— I my o tym myślimy. Może uda się zlokalizować tę placówkę właśnie w kamienicy przekazywanej PKZ? Przyszły użytkownik nie zgłasza sprzeciwów.

— Skoro jesteśmy przy inwestycjach kulturalnych, spytam, czy godzicie się na istnienie biblioteki miejskiej i wojewódzkiej o łącznej powierzchni 360 metrów kwadratowych? Tyle powinna mieć przeciętna księgarnia!

— Na razie nie możemy nic tutaj zmienić. Pierwszeństwo ma „mieszkaniówka".

— W „Sztandarze Ludu" czytam ogłoszenie oddziału WSS w Chełmie, który zaprasza do restauracji „Lotos" i kawiarni „Kosmos" na program rozrywkowy: piosenka, humor, taniec, iluzja, strip-tease... Absolutna Europa w centrum Chełma. Przy okazji chciałem Pana spytać: skoro w mieście brakuje klubów, choćby MPiK-u, co ma czynić po szkole lub pracy młodzież, której macie dużo, a szczególnie ładnych dziewczyn?

— Istnieje koncepcja, żeby kawiarnię „Stylową" przekształcić właśnie na MPiK, z tym jednak wiąże się potrzeba wykwaterowania lokatorów z pomieszczeń sąsiednich, w wykwaterowaniach zaś mają pierwszeństwo tereny pod budownictwo mieszkaniowe. Natomiast w kwestii owych imprez w „Lotosie" i „Kosmosie" słyszałem, że poziom ich bardzo mizerny...

— Wiaduktem lub obwodnicą można nie jeździć, tylko innymi drogami. Do klubu można nie chodzić, tylko do restauracji na strip-tease. Ale z PKS-u trzeba korzystać, jeśli się chce wyjechać z Chełma w Polskę. Tymczasem u was podobno idzie się na dworzec PKS nie patrząc na rozkład jazdy, lecz w myśl zasady: co będzie, pokaże czas. Ludzie mówią: Przypadkowa Komunikacja. Samochodowa!

— Są tego obiektywne i subiektywne przyczyny. Zdjęto ostatnio ze stanowiska dyrektora PKS, co jednak nie zastąpi braku taboru i kierowców, choć nieco może uzdrowi sytuację.

— Mieszkańcy nowych osiedli skarżą się na permanentne błoto wokół ich bloków. Skarżą się na brak wody, szczególnie jeśli idzie o wyższe kondygnacje; kąpać się można jedynie w środku nocy!

— No cóż, są zaniedbania w tym względzie. Na 109 kilometrów dróg i ulic w mieście tylko 66, kilometrów mamy utwardzonych. Około 15 procent ludności nie ma w ogóle wody, zaś około połowa nie ma kanalizacji...

— Tylko że ja nie mówię o starych zaniedbaniach, lecz o nowych blokach.

— Chwileczkę. Z wodą jesteśmy już na finiszu, w trakcie przejmowania nowego ujęcia co rozwiąże problem na około 8 lat. Opóźnienia w budowie chodników, jeśli idzie o nowe osiedla, chcemy nadrobić w tym roku...

— Za chwilę Pan Prezydent powie, iż wszystko to opóźnia się wam, ponieważ pierwszeństwo ma budownictwo nowych bloków.

— Ależ to jest prawda!

— Więc porozmawiajmy o sławetnej „mieszkaniówce". Co ją limituje?

— Proszę pana, dopóki nie będziemy posiadali własnej fabryki domów, a Chełmskie Przedsiębiorstwo Budowlane będzie korzystać z podwykonawczych firm lubelskich, sytuacja nadal pozostanie ciężka. Niewiele więcej da się w tej chwili powiedzieć.

— Korzystacie z zamojskiej fabryki domów.

— Niby tak, lecz usilnie zabiegamy o własną, pan rozumie. Doceniając ogólnonarodową wagę inwestycji, nie narzekaliśmy, iż ChPB uczestniczyło w budowie Lubelskiego Zagłębia Węglowego, choć to rozpraszało moce wykonawcze przedsiębiorstwa, które jeszcze w listopadzie ubiegłego roku budowało coś w Łęcznej...

— Ile w zeszłym roku oddano nowych mieszkań w Chełmie?

— 482. Niewiele. W każdym razie udaje nam się rozwiązywać problem budownictwa indywidualnego, co osłabia głód mieszkaniowy. Ze 150 podań o działki pod domy indywidualne pozostało do załatwienia 24, i z wiosną bieżącego roku będą załatwione. Kombinat cementowy zamierza uruchomić produkcję prefabrykatów pod to budownictwo. Zachęcające ceny i osłabienie nacisku na rynek materiałów budowlanych. Miasto postara się sprostać w przygotowaniu terenów.

— Panie Prezydencie, od kiedy Pan piastuje swoje stanowisko?

— Od 7 VII 75 roku. Jestem pierwszym prezydentem Chełma.

— A przedtem?

— 9 lat byłem tutaj dyrektorem technikum mechanicznego.

— Musiał się Pan przestawiać. Ciężko to szło?

— Pierwszy okres, który zresztą trwa nadal, zawsze jest ciężki. My tutaj wszyscy razem jeszcze ciągle się uczymy.

— Przyznam, że podoba mi się ta skromna odpowiedź. A nie ma Pan kłopotów z kadrą?

— Raczej z brakiem kadry, podobnie jak i całe województwo. Potrzeba na przykład 20 architektów, a posiadamy dwu w całym województwie. Nie lepiej z lekarzami, nauczycielami. Zabiegamy o plastyków. Fundujemy stypendia. Czynimy cuda, żeby dosłownie spod ziemi zdobyć mieszkania dla kadry. Chętnych brak!

— W samym zaś Urzędzie Miejskim?

— Trochę za mało ludzi z wykształceniem technicznym. Jestem z wykształcenia magistrem-inżynierem mechanikiem i w pełni rozumiem, jak znajomość problematyki technicznej przydaje się w... administrowaniu miastem, gospodarką komunalną choćby!

— Ambicje Chełma?

Hotel „Kamena" z przeszło półrocznym opóźnieniem będzie otwarty...

Fot. J. Trembecki

— Mamy koncepcję rozwoju do 150 tysięcy mieszkańców.

— W którym roku tak ma być?

— Powiedzmy, że w 2000.

— Obecnie Chełm liczy 46 000 mieszkańców. Jeżeli w tym tempie będzie powstawać budownictwo mieszkaniowe...

— Mając własne koncepcje, wcale nie twierdzimy, że Chełm musi być miastem 150-tysięcznym. Jeżeli jednak rozwój LZW pójdzie w naszym kierunku, a nie na północ, musimy być przygotowani na taki rozrost miasta i już dzisiaj trzeba się z tym liczyć.

— Panie Prezydencie, dziękując za rozmowę, nie chciałbym, aby pozostało wrażenie, iż w Chełmie dostrzegam same cienie. Są i blaski oczywiste, dużo ich, ale właśnie o cieniach mieliśmy rozmawiać.

NA DWÓCH SCENACH TEATRU OSTERWY

Maria Bechczyc-Rudnicka

TYM razem proponuję rzut oka aż na dwie prezentacje lubelskiego teatru dramatycznego, a zacznę, stosując inwersję chronologiczną, od premiery „Po górach, po chmurach", stosunkowo niedawnej, albowiem Bryllowa „ballada wigilijna" dośpiała w Lublinie na św. Macieja, przepraszam — na św. Franciszka (styczniowego).

Że po świętach? Dlaczego, dlaczego! — Po prostu ambitny reżyser zażądał dodatkowych prób, by oddać ową strukturę inscenizacyjną w stanie pełnej gotowości. I Bogiem a prawdą, tracąc cokolwiek na charakterze okolicznościowym, popłynęła owa ballada głębszym nurtem.

„Dialog", celujący w opatrywaniu swoich tekstów aforystycznym résumé, skomentował ten tekst poetycki Ernesta Brylla sentencją: *Poeci są jak dzieci: gdy siedzą przy biurku, nogami nie sięgają ziemi.* Ale w danym wypadku finezyjna myśl naszego La Rochefoucauld, nieodżałowanego Stanisława Jerzego Leca, wyjątkowo nie pasuje do utworu, któremu towarzyszy. Rzeczona ballada, acz sięga nieba i piekła, trzyma się ziemi całkiem mocno, a nawet rzec by można — zapuściła w nasz grunt parę dodatkowych korzonków. Aż gęsto w niej od trafnych odniesień do realiów dzisiejszej rzeczywistości.

Za to wybornie definiuje widowisko Brylla aforyzm Stanisława Leca zamieszczony kilka miesięcy później („Dialog" nr 5 z r. 1969) pod dociekliwą analizą pióra Grzegorza Sinki „Konfrontacje: Adwent i Dobra Nowina" — *Muza mieszka w nas, gdzie jej wygodnie, w głowie, gardle, nogach itd.*

I właśnie do wymienionego szkicu, zwięzłego a przystępnego, pozwalam sobie odesłać czytelników, którzy by się interesowali rodowodem poszczególnych elementów „Po górach, po chmurach", widowiska z natury rzeczy opartego na tradycji. Nie mając w osobistym bagażu własnych badań danego gatunku literackiego, uchylam się wszak od kompilacji, niech mi będzie wolno posłużyć się na tych łamach jednym cytatem: *Stanowi zatem utwór Brylla pod względem gatunkowym* — pisze Sinko — *kontaminację całego niemal dotychczasowego dorobku: szopki, jasełek, folklorystycznej literackości Czyżewskiego i zaangażowanej literackości Rydla, z silnym narzutem Schillerowskim.*

Od siebie dodam, że i hobby Pana Jowialskiego — przysłowia tudzież porzekadła zostały tu zgrabnie podzielone między persony widowiska.

Tyle o rodowodzie. Powyższy cytat nie godzi przecie bynajmniej w inwencję Ernesta Brylla. Sama lektura jego tekstu daje niemałą satysfakcję za sprawą lotnego humoru, swoistej satyry „z cicha pęk" albo i walącej na odlew. A i „sarmackość" Brylla (jak chce Sandauer) ujmuje, powiedziałabym, swą jędrnością. Obok tego — rzewny liryzm na nutę ludową, choćby w przewodniej Pieśni Anioła, użyczającej tytułu widowisku.

Ballada sceniczna „Po górach, po chmurach" jest stosunkowo mało „ograna". Po premierach r. 69 w Nowej Hucie, Warszawie i Katowicach, wystawiły ją Teatry Dramatyczne Szczecina (r. 70). Teatr im. Stefana Jaracza w Łodzi (r. 72), „Bagatela" w Krakowie (r. 73), „Tęcza" w Słupsku (r. 75). Lubelska premiera jest ósmą z kolei. Sądzę, że odgłosy jej aktualnego sukcesu u tzw. masowego widza powinny zachęcić do wystawienia owej, że tak powiem, krewkiej ballady — Wrocław, Gdańsk, bodaj i Gorzów Wlkp., gdzie dyrektorem bratniego Teatru im. J. Osterwy jest n a s z Andrzej Rozhin, któremu się tak zawsze wiodło w inscenizacji widowisk tego typu.

Lubelski spektakl wyreżyserował warszawski reżyser Henryk Mozer, były asystent Erwina Axera przy pracy nad tą pozycją w Teatrze Współczesnym w 1969 r. Lublin otrzymał tedy przedstawienie o kształcie niejako inspirowanym przez spektakl warszawski, w dużej mierze, podobno, wzorowany na nim (mówię „podobno", gdyż osobiście tego pierwowzoru nie widziałam).

Dziś już nikogo nie szokuje opinia, że nie wszystkie stołeczne spektakle są najlepsze, lecz właśnie wspomniany spektakl „Po górach, po chmurach" zyskał powszechną aprobatę. Należy się tedy niewątpliwie aplauz kierownictwu naszego Teatru im. Osterwy za pomysł odwzorowania (z poprawką na czas i miejsce) udatnego warszawskiego modelu dla lubelskiego widza. Musieliśmy zresztą już taki precedens np. w przypadku „Kordiana" czy „Pensji pani Latter" — replik spektakli Teatru Narodowego, wyreżyserowanych przez Adama Hanuszkiewicza, i wyszliśmy na nich dalibóg znakomicie.

Ostatecznie i tak replika nie jest identyczna z modelem, ponieważ, wiadomo, inaczej reagują na to samo tworzywo inscenizacyjne realizujący je inni aktorzy. A przy pracy nad balladą Brylla oddziałała też indywidualność innego reżysera. Jak dalece — mógłby orzec tylko ten, kto widział spektakl Axera, z którym Henryk Mozer współpracował, jak wyżej wspomniałam, w r. 69. Wystarczy powiedzieć, że spektakl lubelski jest pełen werwy i roi się od atrakcyjnych momentów.

Grzegorz Sinko, na którego się powoływałam, podkreślał adwentowość przedstawienia warszawskiego 69 r. Spektakl Mozera na scenie w Lublinie nosi również bez wątpienia charakter adwentowy w sensie upominania się o Dobrą Nowinę.

Właściwie nie ma w tej „balladzie wigilijnej" materiału na wielkie „kreacje" aktorskie, ale przydzielone im zadania, uwarunkowane w pewnej mierze przez tradycję, wykonali wszyscy aktorzy z pełnym nakładem umiejętności warsztatowych i, powiedziałabym — wręcz ochoczo. Wymieńmy przeto całą obsadę:

Ryszard Kolaszyński (Anioł), Zbigniew Sztejman (Mateusz), Tadeusz Kuduk (Marek), Henryk Sobiechart (Łukasz), Andrzej Rzechowski (Jan), Jerzy Rogalski, Waldemar Starczyński, Stanisław Stojko (Pasterze), Marian Drozdowski, Maciej Polaski (Barany), Włodzimierz Wiszniewski (Adam), Piotr Wysocki (Diabeł), Anna Świetlicka (Diabełka), Elżbieta Skrętkowska (Ewa), Podoficer (Henryk Gońda), Ludwik Paczyński, Lucjan Zabramny (Żołnierze), Piotr Suchora (Wół), Witold Zarychta (Kasper), Roman Kruczkowski (Melchior), Krystyn Wójcik (Baltazar), Tadeusz Kuduk (Śmierć — drugie zadanie obok kolędującego ewangelisty), Włodzimierz Wiszniewski (Herod, jak widzieliśmy, poprzednio Adam), Barbara Koziarska (Maria), Stanisław Olejarnik (Józef), znów Krystyn Wójcik, łączący zadanie Króla Baltazara z misją Osła, wreszcie Stefania Cybulska, Jadwiga Janczewska, Maria Karchowska i Elżbieta Święcicka, które reżyser kosztem ich niewieściej urody przerobił w brodate Cherubiny i Serafiny.

Powiedziałam — nie ma materiału na kreacje, przepraszam, jest wszak jedna: mam na myśli fascynujący monolog Diabła (dopisany przez autora po wydrukowaniu utworu w „Dialogu"). Piotr Wysocki wycieniował, rozpracował aktorsko powierzony mu tekst do najdrobniejszego szczegółu. Przypomniał mi się w tym miejscu Molierowski Tartufe z całą jego obłudą, perwersją, zgrozą.

Nie bez tego też, by i kilku innym aktorom nadarzyła się sposobność do popisu, z której w pełni skorzystali. Włodzimierz Wiszniewski skutecznie bawił nas bezbronną nagością praojca Adama, Piotr Suchora, wrobiony w wołu-filozofa efektownie i efektywnie zachęcał do konsumowania satyry zakamuflowanej w rzekomej wołowatości. A Henryk Gońda — ileż pozornie jowialnego, lecz w istocie rzeczy dotkliwego humoru potrafił wnieść do opowiadania zahartowanego „w bojach" Podoficera — o goleniu wąsów. Sobiechart miał uroczy popis ptasiego ćwierkania, wreszcie pobożne skupienie Marii pięknie odtworzyła Barbara Koziarska.

Co do muzyki Zbigniewa Turskiego, tu i ówdzie folklorystycznej na modłę big-beatową, zebrała ona moc pochwał, swego czasu już w Warszawie, jak również kostiumy Ewy Starowieyskiej, przetwarzające tradycję w niebanalny sposób. Dekoracje Joanny Radzkiej (mające za punkt wyjścia chyba pierwotne warszawskie założenie scenograficzne), reprezentują, że tak powiem artystyczną koncepcję pokutującego jeszcze w miastach złego smaku „plebejskiego" (kolorowe lampki elektryczne, utrapione putti z oleodruków na frontonie skądinąd poczciwego, żałosnego, starego dworku).

Tańce (choreografia Ignacego Wachowiaka) i śpiew (kierownictwo muzyczne Barbary Jagodzińskiej) nawet bez taryfy ulgowej dla teatru dramatycznego nie budzą poważniejszych zastrzeżeń.

INTERESUJĄCYM również pomysłem było wystawienie na małej scenie „Reduta 70" sztuki Rogera Vitraca „Wiktor albo Dzieci u władzy". Obecnie stało się już truizmem przekonanie, że każdy teatr wojewódzki, jeśli nie chce skazać się na zastój, a nawet regres, powinien mieć scenkę eksperymentalną, po której wolno „chodzić na głowie". Na wypadek jednak, gdyby ktoś zachował jeszcze pod tym względem jakieś wątpliwości, stwierdzam: „Wiktor albo Dzieci u władzy" — to, jak na dziś, żadne już „chodzenie na głowie". Aż dziw bierze, że nikt dotąd nie przechwycił teatrowi lubelskiemu p r a p r e m i e r y tej w gruncie rzeczy przystępnej dla przeciętnego widza sztuki. Gdy bowiem przyjmiemy jako regułę gry konwencję, że Wiktor i Esterka w wieku lat dziewięciu i sześciu mają wzrost ludzi dorosłych, i zorientujemy się, że Antoni jest normalnym klinicznym wariatem, będziemy odbierać bez oporu i trudu prezentowane nam ekstrawagancje. Przekroczyliśmy bowiem już tyle granic, przełamali tyle oporniejszych konwencji, że nic nas dzisiaj zaszokować nie może, nawet osobliwe dźwięki, jakie wydaje Pani de Mortemart (nazwana w programie Panią Idą Beaugincy), które mogłyby być jednak zlikwidowane przez reżysera raczej z korzyścią dla postaci, będącej realnie — wielką damą, symbolicznie — Sfinksem, Śmiercią.

Vitrac był u nas dotąd mało znany. Uwagę teatrologów i teatromanów pochłaniał Antoni Artaud, z którym Roger Vitrac współpracował. Szerszy ogół nie otrzymał prawie nic do czytania o tym surrealiście, współtwórcy Teatru im. Alfreda Jarry'ego. Można było wyłapać zaledwie parę wiadomości o nim z końcowych materiałów Jana Błońskiego i Konstantego Puzyny w książce Artauda „Teatr i jego sobowtór" lub natrafiwszy na sprawozdanie Błońskiego w styczniowym numerze „Dialogu" z r. 1963, kiedy to Jan Błoński, będąc paryskim korespondentem pisma, miał sposobność oglądać „Wiktora albo Dzieci u władzy" w reżyserii Anouilha. Starannie opracowany program Teatru im. J. Osterwy zawiera dość informacji potrzebnych widzowi nie obeznanemu z poetyką surrealistów. Osobiście chciałabym zwrócić uwagę szczególnie na dwa zdania zaczerpnięte z pracy Paula Surera „Współczesny teatr Francuski. Inscenizatorzy i dramatopisarze". Mówi Surer: *Rogera Vitraca można uważać za autora, któremu najlepiej udało się przenieść na scenę surrealizm. Poza surrealizmem uległ on wpływowi satyrycznej i groteskowej farsy Jarry'ego, którego pewne chwyty zużytkował.*

Otóż to — drugie zdanie chyba tłumaczy pierwsze, mianowicie fakt, że Vitrac zdołał wprowadzić na sceny paryskie aż siedem swoich sztuk, podczas gdy Artaud, myśliciel i twórca znacznie wyższej rangi, zdobył uznanie dopiero po śmierci.

Lubelski spektakl przechyla się od groteski Jarry'ego w stronę farsy Feydeau, tu i ówdzie umiarkowanie sparodiowanej, raczej spotęgowanej w naturalizmie, co dzisiaj jest cenione. Lecz summa summarum reżyser Bohdan Cybulski sprezentował inscenizację zajmującą i pomysłową, w równie niebanalnej scenografii Teresy Targońskiej.

A oto obsada: Henryk Sobiechart (Wiktor), Andrzej Rzechowski (Karol Paumelle, jego ojciec), Bożena Mrowińska (Emilia Paumelle, jego matka), Hanna Pater (Lili, ich służąca), Elżbieta Skrętkowska (Estera), Piotr Wysocki (Antoni Magneau, jej ojciec), Anna Świetlicka (Teresa Magneau, jej matka), Krystyna Torończyk (Marysia, ich służąca), Waldemar Starczyński (Generał), Barbara Wronowska (Pani Ida Beaugincy).

Z jednym wyjątkiem, są to r o l e z prawdziwego zdarzenia, świetnie zagrane, których tu nie omawiam wobec braku miejsca, za co naszych utalentowanych aktorów najmocniej przepraszam.

Ernest Bryll — Po górach, po chmurach. Włodzimierz Wiszniewski (Adam) i Piotr Suchora (Wół)

Fot. Zbigniew Zuga

Nieopłacalne „bergmany”?

Trędowata bije rekordy

Mirosław Derecki

W „TYGODNIKU Kulturalnym” z 23 stycznia br. Andrzej Zwaniecki zamieścił artykuł pt. „A w kinach bez zmian”, w którym krytykując politykę repertuarową Zjednoczenia Rozpowszechniania Filmów, pisze m. in. o wynikającym stąd impasie, w jakim znalazły się kina studyjne i o problemach Dyskusyjnych Klubów Filmowych: *Wprawdzie kino w ustroju socjalistycznym — służyć ma nie tylko biznesowi ale i lansowaniu wyższych, szlachetniejszych treści, ale to drugie zadanie wymaga już ustalenia pewnej hierarchii ważności. W sytuacji, w której dla ZRF-u priorytet kulturotwórczej funkcji kina nie jest oczywisty i proporcje pomiędzy handlem a sztuką ulegają zachwianiu na niekorzyść tej ostatniej kino zaczyna przypominać po prostu dobrze prosperujący bazarowy stragan. Usychają więc u nas kina studyjne. Ich program coraz mniej różni się od afiszy kin szeregowych.*

Czytając ten słuszny artykuł zacząłem się zastanawiać na ile u nas — myślę o tzw. terenie — dostrzega się i docenia ową kulturotwórczą funkcję kina oraz ważkich problemów gubi się w nawale imponującej sprawozdawczości? Na papierze sprawy kultury filmowej mogą rzeczywiście przedstawiać się imponująco: dziesiątki filmowych imprez, przeglądów tematycznych, quizów dla młodzieży szkolnej i nie szkolnej — organizowanych przy jakże aktywnym współudziale Okręgowych Przedsiębiorstw Rozpowszechniania Filmów. Nawet w odległych wsiach i miasteczkach — spotkania z aktorami i reżyserami. Imponująca nierzadko liczba kin studyjnych lub „dni” studyjnych. Od tych szczegółowych wykazów i sprawozdań można naprawdę dostać zawrotu głowy! Ale po bacznym przyjrzeniu się można też dostrzec, że nie zawsze ilość idzie w parze z jakością, a bywa również, że dane są przesadzone lub nieprawdziwe.

Pierwszy z brzegu przykład: lubelskie kino „Staromiejskie”, reklamowane w prasie jako s t u d y j n'e, w istocie prowadzi tylko dwa „dni” studyjne tygodniowo i to zwykle bez żadnej prelekcji lub choćby zapowiedzi wprowadzającej przed filmem. A przy tym jeden z tych dni pokrywa się równocześnie z akcją „Z filmem na ty”, prowadzoną przez Zarząd Miejski ZSMP w porozumieniu z OPRF. To znaczy w praktyce, że zaopatrzona w karnety przez ZSMP młodzież chodzi w ramach tej akcji na filmy studyjne firmowane przez OPRF, co uwidacznia się później prawdopodobnie w sprawozdawczości obydwu tych instytucji. Nawiasem mówiąc, sprzedano tych karnetów (na 4—5 filmów w miesiącu) raptem aż... 47 w grudniu, 73 w styczniu a 85 w lutym br. Pojemność widowni — 200 osób. Ale czytając lubelską prasę ma się wrażenie, jakby w kinie „Staromiejskim” działy się rzeczy wielkie. Oczywiście, chwalebny jest patronat organizacji młodzieżowej nad „Staromiejskim”, dawne osiągnięcia i plany na przyszłość, ale... obecna rzeczywistość, jednak odbiega od notatek prasowych...

Nie przypominam sobie, żeby nasza prasa czy radio zajmowały się na co dzień problemami kultury filmowej i filmową publicystyką dokonując krytycznych ocen lub analiz poza częstą — ale głównie reklamową — informacją. Nie jest tutaj bez winy także „Kamena”, chociaż od lat prowadzi konsekwentnie przynajmniej felieton filmowy.

Nikt jakoś nie dostrzega tego, że repertuar w kinach studyjnych jest ostatnio raczej dziwny: filmy bardzo dobre przemieszane z pozycjami bezwartościowymi. Albo takie, które zostały zakupione z nieznanych bliżej przyczyn i trzeba je później upchnąć na ekranie jako „skierowane do rozpowszechniania w kinach studyjnych”, lub te, które po prostu mają ratować nadwątloną kasę kina. Warto pamiętać, że w Polsce kierownicy kin, zarówno zwykłych jak i studyjnych, otrzymują premię od utargu. Oczywiście kierownicy zwykłych kin nie cieszą się wcale z powodu dni studyjnych ani — tym bardziej — z przekształcania ich placówek w kina studyjne gdzie trzeba wciąż grać nieopłacalne „bergmany”. Różnorakie akcje filmowe, połączone z systemem biletów czy karnetów — prawie zawsze po cenach niższych niż na normalnych seansach — odbijają się na kieszeni załogi.

Warto przypomnieć tutaj, że na Węgrzech na przykład kierownik kina nie ma premii za film zakwalifikowany do grupy komercyjnej, bo przecież i tak do kina przyjdą chmary widzów. Doceniany jest jednak jego wysiłek w organizowaniu frekwencji na filmach ambitnych a mniej atrakcyjnych dla przeciętnego widza. Nic więc dziwnego, że u nas do studyjnego repertuaru kierownicy kin na siłę starają się wciągać „atrakcyjne” pozycje. Jest więc w jakimś sensie rzeczą zrozumiałą, że na przykład w grudniowym repertuarze kino „Staromiejskie” starało się „zrównoważyć” film Trzosa-Rastawieckiego „Trąd” takim kasowym kiczem jak „Druga twarz Ojca Chrzestnego”.

Wojewódzkie Rady Artystyczne Kin Studyjnych, które zawsze miały dość ograniczoną możliwość repertuarowego manewru i zazwyczaj w czasie zebrań zajmowały się wielogodzinnymi dyskusjami na temat „czego nam się na pewno nie uda wprowadzić w tym miesiącu na ekrany?” — w obecnej sytuacji chyba już w ogóle nie są zdolne wpływać na repertuar...

Wojciech Wierzewski, pisząc o problemach kin studyjnych w „Małym Roczniku Filmowym” za rok 1975, stwierdził to samo — i to w oficjalnej przecież publikacji Zjednoczenia Rozpowszechniania Filmów.

Na pewno ruch studyjny zaczął w pewnym momencie toczyć się w niewłaściwym kierunku. Zawiniły chyba tutaj m. in. ówczesne Wojewódzkie Zarządy Kin, które, być może dla uatrakcyjnienia sprawozdawczości i wykazania aktywności, rozwinęły nadmiernie akcję tworzenia kin i dni studyjnych. Wprowadzano działalność studyjną do kin, które nie miały odpowiedniego „zaplecza” — przede wszystkim w postaci działaczy filmowych, którzy by do tej działalności mogli się aktywnie włączyć.

Województwo lubelskie mogło się w 1974 r. pochwalić wprawdzie tylko jednym kinem studyjnym (Warszawa np. miała ich cztery, Łódź trzy, a Białystok dwa) w studenckiej „Chatce Żaka”, ale za to 14 kinami prowadzącymi dni studyjne. W następnym roku nie było już kina studyjnego, a w czterech innych działalność studyjna została zlikwidowana. Na „pociechę” można dodać, że w woj. warszawskim przestało działać sześć placówek studyjnych, a tyle samo w katowickim i wrocławskim.

Może na taką frontalną secesję wpłynęły nie tyle sprawy repertuarowe czy finansowe, ile brak odpowiedniej kadry czy też materiałów informacyjno-popularyzacyjnych, a także odpowiedniej atmosfery w terenie wokół działalności studyjnej. Pomysł odtwarzania z taśmy magnetofonowej prelekcji nagrywanych przez krytyków filmowych zupełnie nie zdał egzaminu. Taśma niszczyła się szybko, a kina nie zawsze posiadały odpowiednią aparaturę odtwarzającą. Efektem był dobiegający zza ekranu niewyraźny bełkot, na który publiczność nie zwracała wcale uwagi. Nadsyłanie powielanych komentarzy daje wyniki tylko w nielicznych kinach, gdzie skupia się silna grupa działaczy-aktywistów, wykorzystująca je do opracowywania prelekcji. Ale ile jest takich kin? Pozostają wreszcie przyjazdy specjalnych prelegentów, będące rodzajem „święta” dla lokalnych miłośników X Muzy. Tylko że przy dużej liczbie kin i filmów, a nielicznej znawców przedmiotu, prowincjonalne kino bardzo rzadko może sobie pozwolić na luksus „preleganckiego seansu”. I jeszcze: wysokość stawek za prelekcje ustalona przez TWP nie zachęca do dalekich podróży tych, którzy naprawdę mają coś do powiedzenia...

Nie ulega kwestii — pisał Wojciech Wierzewski — *iż nowa struktura administracyjna województw, a w jeszcze większym stopniu reforma administracyjna kinematografii, polegająca na włączeniu sieci kin pod zarząd Zjednoczenia Rozpowszechniania Filmów, może i powinna w roku 1976 zmienić sytuację ruchu studyjnego na lepsze.* Jest już rok 1977. Nie wiem, jak w innych województwach, ale w tych, nad którymi sprawuje pieczę lubelskie OPRF, sytuacja na lepsze na razie się nie zmieniła. Liczba placówek studyjnych pozostała taka sama jak w 1975 r., co zaś do akcji wychowawczo-dydaktycznej, to twierdzenie dyrekcji, że rok 1976 został wykorzystany „na popularyzację filmu studyjnego” oraz „na zorientowanie społeczeństwa co to jest film studyjny” — po prostu wydaje się pustym frazesem.

Nie można mieć zresztą specjalnych pretensji do lubelskiego OPRF, bo problem jest zbyt złożony i do rozwiązania głównie przez władze centralne. W obecnej sytuacji natomiast interesująca wydaje się propozycja dyr Zbigniewa Stępniaka, która zakłada zastąpienie nagrywanych na taśmie prelekcji, „dokrętkami” filmowymi. Przedstawiałyby one komentarz wygłaszany przez krytyka, ilustrowany nawet fragmentami innych dzieł danego reżysera. Jest to prosty a najbardziej chyba skuteczny sposób na przyciągnięcie uwagi publiczności, która zresztą przyzwyczajona jest już do podobnej formy w telewizji.

Dużo lepiej przedstawia się sytuacja w Dyskusyjnych Klubach Filmowych, chociaż dopiero po reformie administracyjnej okazało się, jak nierównomiernie w dawnym województwie lubelskim kształtowała się topografia tych klubów. Na początku 1976 r. działało ich 11, ale wszystkie były skupione wokół Lublina. W obecnych województwach bialsko-podlaskim, chełmskim i zamojskim nie istniał ani jeden DKF! W tym względzie Lubelszczyzna „pobiła” na głowę cały kraj. Poza naszym regionem tylko dwa województwa — ciechanowskie i ostrołęckie — nie miały ani jednego!

Osobny problem to sprawa repertuaru w DKF-ach, które bardzo ucierpiały na zlikwidowaniu „puli specjalnej” w zakupach zagranicznych. Uwzględniała ona trudny, ale zarazem ambitny repertuar. Chociaż ostatecznie kluby dyskusyjne znalazły sposób wyjścia z impasu, jaki zaznaczył się przed kilkoma laty, to jednak nadal szukają najodpowiedniejszych form pracy i temu warto by poświęcić osobny artykuł.

To, co napisałem, nie wynika z niechętnego komentowania poczynań związanych z krzewieniem kultury filmowej na Lubelszczyźnie, ale z troski o uświadomienie faktu, że liczby mogą przesłonić nam istotny obraz tego, co się naprawdę dzieje.

Od lat bardzo dobrze układa się współpraca organizacji młodzieżowych z lubelskim OPRF-em. Możemy na przykład cieszyć się takimi osiągnięciami, jak Międzynarodowe Forum Filmowe „Człowiek-Praca-Twórczość”, czy odbywającym się w Lublinie ogólnopolskim festiwalem filmów rolniczych. Ogromną rolę spełniają obozy i szkolenia przeprowadzane w ramach młodzieżowych akcji (ZW ZSMP), takich jak Małe Akademie Filmowe (kształcące działaczy i prelegentów filmowych), czy Młodzieżowe Wszechnice Filmowe. Także — wspomniane już, popularne spotkania „Z filmem na ty”, w których ramach odbywają się różne przeglądy tematyczne, „młodzieżowe premiery miesiąca” oraz „pożegnania z filmem”.

Ta trzecia forma działalności, owe różnorakie „spotkania”, są jednak imprezami masowymi, mającymi na celu najpierw zapewnienie godziwej rozrywki, a dopiero później — kształcenia młodych widzów.

Liczba tych wszystkich imprez, organizowanych przez organizacje młodzieżowe i przez OPRF, pomnożona w dodatku przez liczbę seansów i widzów, dałaby w sumie liczby astronomiczne, ale czy na pewno odpowiadające poziomowi kultury filmowej w naszym regionie? Wymowa liczb bywa przecież często złudna.

Sprawa trzeźwego spojrzenia na to, co dzieje się w dziedzinie upowszechniania kultury filmowej teraz, kiedy zaczyna się wprowadzać do szkół wychowanie filmowe, jest rzeczą bardzo potrzebną. Warto więc przyjrzeć się także z uwagą działalności niedawno powstałego Centrum Szkolnej Kultury Filmowej (przy Domu Nauczyciela w Lublinie), działającego pod opieką Zarządu Głównego ZNP, Kuratorium Oświaty i Wychowania oraz OPRF. Nie można pominąć prowadzonych przez dr. Janusza Plisieckiego zajęć z filmologii dla studentów polonistyki UMCS.

Pamiętajmy też, że Lublin kilka lat temu stracił z własnej winy szansę stania się naukowym ośrodkiem kultury filmowej. Trzeba tę szansę w jakiś sposób teraz odzyskać i chyba do tego tematu warto wrócić.

Kamena str. 9

oko-lice sztu-ki

Obrazy dla domu

MAŁA sala lubelskiego BWA nie mogła pomieścić chętnych obejrzenia wystawy malarstwa Stanisława J. Łazorka, otwartej 28 stycznia. Dawno nie oglądaliśmy takich tłumów na wernisażu ekspozycji indywidualnej, nawet ekscesy tzw. awangardy nie mają tylu widzów. Mówią, że w ów dzień styczniowy zwaliło się do budynku przy ul. Narutowicza 300, albo i 400 bardzo różnorodnych ludzi. Obok licznych studentów wyodrębniała się bodaj dwudziestoosobowa grupa starszych dam, które w sposób zorganizowany i stanowczy wkroczyły do sali, w milczeniu wypychając zeń tych, którzy już zdążyli wznieść się na orbitę kontemplacji. Dodajmy, że wernisaż był okazały, ozdobiony dwunastoma butelkami wina i czymś tam jeszcze. Śmiało można stwierdzić, że czegoś podobnego lubelskie środowisko plastyczne nie widziało od lat jedenastu, czyli od wernisażu wystawy 30-lecia naszego ZPAP, podczas którego częstowano nawet koniakiem i to w ilościach wcale nie symbolicznych.

Zwrócenie uwagi na ten miły ornament wernisażu Łazorka nie jest wstępem do wyrażenia kilku bardziej perfidnych złośliwości pod adresem wystawy. Boleję zresztą nad tym. Ale co zrobić, jeśli pokazane malarstwo po prostu mi się podobało — jeśli nie liczyć kilku dużych pejzaży kazimierskich, zbyt, niestety, stereotypowych i nadmiernie „wdzięcznych". Płótna te znalazły natychmiast (!) nabywców, co także jest czymś bezprecedensowym w naszym życiu plastycznym, rozwijającym się w sferze gratyfikacji czysto moralnych, albo w ogóle abstrakcyjnych. Od wielu, wielu lat nie zdarzyło się jeszcze w Lublinie, aby jakiś członek wernisażowej publiczności wskazał palcem na wybrany przez jego serce i portfel obraz, krzycząc przy tym „Kupuję!". A tu tymczasem kilku takich klientów zdeklarowało swoje pragnienia i możliwości, co wzmocni dobra materialne autora wystawy o następujące kwoty: 4000, 6000, 10 000 oraz 12 000 złotych. Informuję o tym bez żadnych skrupułów, choć zdaję sobie sprawę, że liczenie cudzych pieniędzy nie jest zajęciem zbyt eleganckim. Usprawiedliwienia szukam przecież w wartościach wyższego rzędu.

Nie ulega wątpliwości, że od pewnego czasu wzrasta w Polsce popyt na dzieła sztuki, że prywatny nabywca — do niedawna byt idealny, egzystujący w niebie postulatów — zmaterializował się na dobre. Klient ten najczęściej szuka plastyki albo najzwyczajniej ładnej, miłej dla oka, albo też ogląda się za dziełami artystów, którzy znaleźli trwałe miejsce w historii sztuki realistycznej czy szerzej — przedstawiającej, czytelnej w swej formie i przesłaniu ideowym. Z drugiej strony w plastyce dzisiejszej obserwujemy wyraźny nawrót tendencji figuratywnych bliskich realizmowi czy sztuce metaforycznej. Niedawna wystawa „W kręgu realizmu", urządzona przez lekceważoną niegdyś „Grupę realistów", okazała się wydarzeniem artystycznym stolicy i nawet panowie spod znaku czystego konceptu zwrócili na nią uwagę. Zresztą w ekspozycji znalazły się obrazy tak znakomitych malarzy, jak Janusz Kaczmarski, Janusz Przybylski, Benon Liberski, Jerzy Krawczyk (pośmiertnie), a rzeźbę reprezentowali m. in. Barbara Zbrożyna i Adam Myjak. Najciekawszym działem dużej wystawy malarstwa włoskiego z lat 1939—1970, czynnej w warszawskiej „Zachęcie", okazał się ten, który określono w katalogu mianem „Malarstwo figuratywne". Warto było wybrać się do stolicy — choćby dla obejrzenia obrazów Leonarda Cremoniniego, Renzo Vespignaniego, czy zdumiewających swoim zamysłem i siłą wyrazu płócien Franco Mulasa (trzy wersje „Superekspozycji" z 1974 roku).

Śmiem twierdzić, że ów wyraźny nawrót do figuracji, widoczny szczególnie w młodym pokoleniu artystów, został po części wymuszony przez publiczność, która Bogiem a prawdą nigdy u nas nie przejmowała się sztuką abstrakcyjną czy innymi postaciami autonomicznej kreacji, co może nie takie chwalebne, ale brutalnie prawdziwe. Najgłośniejsze ugrupowania artystyczne likwidowały wartości estetyczne dzieła sztuki, jego związki z panującymi ideologiami i myślą społeczną, doprowadzając ostatecznie do negacji obiektu artystycznego jako koniecznego rezultatu procesu twórczego. Przeciętnego polskiego inteligenta te wszystkie zmagania, komentowane przez periodyki kulturalne, jakoś nie obchodziły, on czekał cierpliwie w kolejce po bilety na wystawy: sztuki meksykańskiej, van Gogha, Picassa, Hasiora — chcąc obejrzeć dzieła, które wyrażały ludzkie sprawy, namiętności, nadzieje i mitologie, które wyrażały świat realny i świat narodowego ducha. On to właśnie czekał niedawno w tłumie przed gmachem „Zachęty", gdzie po raz pierwszy od wielu lat pokazano w takim wyborze sztukę romantyzmu, ów magister inżynier Maliniak pchał się w styczniu bieżącego roku na wystawę rysunków Mleczki w salonie „Szpilek" przy Placu Trzech Krzyży w Warszawie. Może to ryzykowny wniosek, ale wydaje mi się, że właśnie ta przeciętna publiczność miała jakiś wpływ na reorientację naszego malarstwa, datowaną na koniec lat sześćdziesiątych, kiedy to środowiska młodoartystyczne zaczęły redagować postulat społecznej obecności sztuki, prowadzący w praktyce do eksponowania m. in. takich treści, jakie rozwijają się w rysunkach z panem Zenkiem Sanitariuszem w roli głównej.

Co z tym wszystkim ma wspólnego Stanisław J. Łazorek, malarz warszawsko-kazimierski, od którego na pniu kupują obrazy pejzażowe i inne? Ano, wcale nie mało. Otóż Łazorek należy do tej grupy malarzy, która publicznie i do końca przyznała się, że zależy jej na klienteli, na faktycznej obecności w domach naszych (a nie tylko w magazynach muzealnych). W grupie tej znajduje się również Jerzy Duda-Gracz, który gdzieś rok temu wyjaśnił w telewizji, że zależy mu na sprzedaży obrazów i opinii dobrego fachmana od malarstwa. Co oczywiście z pogardą zostało przyjęte przez konceptualistów i chłopaczków z lędźwi Buddy.

Warto zwrócić uwagę na te sprawy, ponieważ przyjęcie zreferowanych przed chwilą założeń wcale nie musi prowadzić do produkowania tandety, do malowania pod publiczkę spod dewocyjno-jarmarcznej gwiazdy. Przykładem — kwiaty i niewielkie pejzaże, pokazane na obecnej wystawie w BWA. Ileż w tych szybko malowanych bukietach dramatycznego konfliktu, wręcz drapieżności, a zarazem — jak znakomicie Łazorek rozwiązał w tych płótnach problematykę koloru. A te małe pejzaże bez ludzi i zabudowań, rozległe przestrzenie lekko zamglonych kolorów, układanych w równoległe pasma zieleni i bladych błękitów — ile w nich intymności, nuty lirycznej i nostalgicznej...

IJK

KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI

Tajne drukarnie

PONAD trzydzieści lat po wojnie okazuje się, że wciąż jeszcze nie wszystko o niej wiemy. I to nie wszystko „w ogóle", ale to, co działo się u nas, a nawet w Warszawie. Kto przeżył tam okupację doskonale pamięta, jak wielką rolę w podtrzymaniu ducha oporu i walki odgrywały pisma konspiracyjne. Pierwsze z nich pojawiły się już pod koniec października czy na początku listopada 1939 roku. Sam redagowałem jedno z takich pisemek, sporządzanych przez kalkę na maszynie do pisania wraz ze znanym i później kontrowersyjnym w kołach dziennikarskich Śledzińskim. Po wielu tych pisemkach nie pozostało nawet śladu.

W chwili wybuchu wojny Michał Wojewódzki, dzisiaj redaktor naczelny „Expressu-Wieczornego", był młodym urzędnikiem, żyjącym bez perspektywy ze skromnej pensyjki. W swoich opublikowanych właśnie wspomnieniach *) przyznaje, że nawet pragnął wojny spodziewając się, że po niewątpliwym a szybkim zwycięstwie nad Niemcami los jego jak i milionów innych Polaków zmieni się zasadniczo. W swoich młodzieńczych marzeniach ani przez chwilę nie przypuszczał, jak wielkie ofiary i cierpienia przyniesie ta wojna — chociaż druga część jego marzeń spełniła się całkowicie.

Wspomnienia zaczynają się opisem walk, w których autor brał udział we wrześniu 1939 r. Ta część jest może zbyt obszerna. Ale stają się one rewelacyjnym dokumentem w chwili, gdy autor zaczyna pracować w prasie podziemnej. Ten odcinek walki z okupantem poza fragmentarycznymi relacjami był dotychczas bardzo mało znany. Autor pisze, że ta walka swoim natężeniem i narażaniem się uczestników przewyższa wiele efektownych walk partyzanckich z bronią w ręku. Wystarczy przeczytać ową książkę, aby się o tym przekonać.

Wojewódzki, zaczynając od „Żołnierza Polskiego" Polskiej Organizacji Zbrojnej, stał się jednym z najbardziej czynnych współpracowników Tajnych Wojskowych Zakładów Wydawniczych AK, całego kombinatu prasowo-wydawniczego, wydającego różne podziemne gazety, pisma, książki, fałszywe dokumenty itd. A dodać trzeba, że słowo „współpracownik" oznaczało wtedy równocześnie dziennikarza, organizatora, administratora, tragarza, żołnierza, konspiratora, a przede wszystkim człowieka, narażonego w każdej chwili na najbardziej wymyślne tortury z rąk okupanta.

Ale książka Wojewódzkiego to nie tylko wspomnienia. To również wiele dokumentów, przekazanych w tekstach i fotografiach, a także kilkaset nazwisk ludzi, z którymi w swojej pracy autor się stykał. Ustalenie szczegółów różnych faktów i rozszyfrowanie pseudonimów okupacyjnych pochłonęło wiele pracy już w okresie powojennym. Dzięki temu jednak wspomnienia stają się dokumentem o wartości historycznej.

A teraz trochę pro domo sua. Na str. 378 autor wymienia skład redakcyjny powstańczego pisma rejonu Śródmieście-Południe „Barykada" (taki był tytuł początkowo, ale wtedy już „Barykada — Warszawa walczy"): „m. in. Jerzy Dostatni (obecnie sekretarz redakcji „Kamena"), Stanisław Lipiński (mój późniejszy kolega w „Expressie Wieczornym") oraz Stanisław Garztecki (zm. 19 III 1972 r.)". To prawda.

Natomiast na str. 380 dodaje: „Oto jeden z przedstawicieli redakcji „Barykady" zrobił mi awanturę i oświadczył, że w pierwszej kolejności i przede wszystkim musi być drukowane ich pismo, a później — jeżeli czas pozwoli — będę mógł robić „moje", pisma". Też prawda, którą Wojewódzki już podobnie zrelacjonował w innej swojej książce. Czas więc wyznać, że owym „awanturnikiem" byłem właśnie ja. Drukarnię „Lech" przy ul. Koszykowej, w której sprawa się rozgrywała, prowadziłem od kilku tygodni i czułem się tam pełnoprawnym gospodarzem. Wojewódzki zaś, przenosząc druk „Biuletynu Informacyjnego" ze spalonej drukarni przy ul. Szpitalnej do „Lecha", był w moich oczach miłym, ale tylko gościem. Zresztą obeszło się bez interwencji zwierzchników i sprawę załatwiliśmy polubownie ku zadowoleniu obu stron.

Jerzy Dostatni

*) Michał Wojewódzki: „W tajnych drukarniach Warszawy 1939—1944. Wspomnienia". Państwowy Instytut Wydawniczy 1976. Str. 416 plus fot. Cena 60 zł.

Poezja poszukującego

W POEZJI Rozenfelda brzmi głos człowieka poszukującego. Warunkiem świadomej autokreacji, której ów człowiek chciałby dokonać, jest skuteczne porozumienie z innymi, trafny wybór języka,

a zdążyć muszę zdążyć muszę
do siebie dojść i wytłumaczyć

(„tak trudno iść")

Dojść do siebie nie można samotnie. Brak łączności z drugim człowiekiem, rozmijanie się ze słowem, poszukiwanie miejsca na Ziemi — to pierwszy akt dramatu wpisanego w tom „Świat moich oczu". Na motywie „przechodzenia obok" oparte są np. wiersze: „świat nie zadrżał gdym przez ciebie..." „ci na których czekamy...", „jeśli drżenie rąk jest zapowiedzią jakiejś zmiany...".

Chwilowe odsunięcie się „bohatera" tych wierszy od grupy, z którą jest związany, dokonane w myśl reguł obustronnie akceptowanych, przeradza się w totalne odszczepieństwo. Zabawa w chowanego rozciąga się na lata:

bawiliśmy się w
chowanego (...)
ja stałem za drzewem a oni
mnie nie znaleźli
o mnie zapomnieli (...)

(„zabawa w chowanego")

Wobec ich bierności z wyboru własna aktywność oznaczałaby złamanie reguł lub skazanie się na przegraną. Bohater przegrywać nie chce. Stąd zwrot w stronę tych, dla których bierność jest stanem z konieczności, w stronę świata umarłych i pogrzebanych wraz z nimi wartości, sygnalizowany w „Polityku żydowskim" i „Kadiszu", najdobitniej wyrażony w słowach:

nieprawdą jest że tam nasza
ojczyzna
gdzie są nasze groby moją
ojczyzną są cmentarze
na cholerę trąd dżumę moją
ojczyzną są groby nad sommą
pod stalingradem dien bien
fu moją ojczyzną
są zniszczone domy fedainów
wsie zmiecione
trzęsieniami ziemi moją
ojczyzną jest świat

(„szczęśliwi ci którzy umarli we właściwej porze")

Nie rozwiązuje to oczywiście problemu izolacji. Dotychczas porządek zachowań bohatera wyznaczało pozytywne wartościowanie określonych elementów świata i oczekiwanie na ich aktywność. Teraz próbuje on lokować kapitał uczuć tam, gdzie pojawiła się aktywność ku niemu skierowana. W ten sposób walka o skuteczne porozumienie może być wygrana:

I nie wiem czy usłyszę kiedyś
że ktoś dla mnie chce
znaczyć tak wiele to ja może
jednak zostanę

(„powiedziałaś że chcesz być dla mnie Polską...")

Dylematy poszukiwania człowieka i poszukiwania ojczyzny posiadają rozwiązania tożsame. Dotąd za sprawą śmierci obywatel świata — odnajduje miejsce konkretne wyznaczone przez miłość. Dawny problem jest nadal istotny, ale zostaje oświetlony inaczej:

a nas jest jakby mniej coraz
to kogoś
ubywa nowi się rodzą jak z
kamienia
nie spieszy im się nadchodzi
pora żniw
ziarno sypać się zacznie z
kłosów

(„mało nas i z pól naszych...")

Człowiek jest jednocześnie podmiotem i przedmiotem żniw. „Żniwa życia" i „żniwo śmierci" nie są absolutnym przeciwieństwem, jeśli pierwsze z nich wyznaczają język, jakim je nazywamy:

(...) zapach chleba wyzwolił w
nas wiersz
bo chleb jest dla niektórych
najpiękniejszą metaforą

(„mało nas i z pól naszych...")

a refleksja nad drugim poprzedza nasze działania:

(...) mądrość śmierci
oby była szkołą mądrości
życia.

Umiejscowienie przez miłość połączone jest ze zmianą optyki:

poznajcie Polskę od strony
rozdartej podszewki oczu (...)

(„poznajcie Polskę od strony...")

I nie dokonuje się bezboleśnie (np. wiersz „każdy musi mieć...") co nie oznacza wątpliwości, lecz poczucie doniosłości wyboru, stwarza sytuację poszerzonej odpowiedzialności. W tej sytuacji nazywaniu świata musi towarzyszyć moralna wrażliwość. To, co cenne powinno być doskonalone i określane wciąż na nowo!

(...) bogowie co chcieli
zmieniają oblicza zanim na
dobre
zagoszczą na tronie już
podmuch wiatru
zdmuchuje ich z tronu
filozofom nie wolno
głosić filozofii poeci biorą się
do polityki

(„powiedz mi Ojcze co to jest Ojczyzna")

Wypowiedź poetycka zyskuje konkretny adres. Jest przesłaniem do „ludzi wśród których żyć przyszło" wymierzonym przeciw mechaniczności ich poczynań („uprawiając genialny kamuflaż..."), rozbijającym „zbyt spokojny sen" („Ale mi nigdy").

Od ściszonej liryki osobistej dochodzimy do poezji o wyraźnych ambicjach społecznych, „publicystycznych". Tom „Świat moich oczu" dowodzi, że między tymi dwoma typami wrażliwości poetyckiej istnieje konieczna, organiczna łączność, kwestionuje zasadność praktykowanego od początku lat siedemdziesiątych układania ich w alternatywę wykluczającą. I jest to w poezji ostatnich lat istotne novum, wyrażone nie postulatem, lecz praktyczną manifestacją szerokiej skali poetyckiego odczuwania.

Na słabszą ocenę niż zawartość myślowa zasługuje język tomu. Rozenfeld w zasadzie „mówi wprost". Jego wiersze nie są wiązkami przenośni. Metafory to tylko rozrzucone węzły poetyckiego wywodu; resztę wiersza wypełnia język niewyszukany, zbliżony (mimo pewnych dziwactw stylistycznych) do języka naszej codzienności. Wydaje się jednak, że technika wypowiedzi jest zbyt uboga, za mało zróżnicowania w stosunku do różnorodności tego, co Rozenfeld chce powiedzieć. Sposób, w jaki może się dokonać likwidacja tych ułomności wskazuje wiersz „Stadion", niewątpliwie najlepszy utwór tomu, „odstający" nieco od pozostałych wierszy.

Bogusław Wróblewski

Aleksander Rozenfeld, „Świat moich oczu", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976 r.

WIEŚ TWORZĄCA W „KAMENIE"

ZIEMIA I PIEŚŃ

ROK XIII LUTY 1977 NR 38

SZTUKA POTRZEBNA JAK POWIETRZE...

PO IV KRAJOWYM ZJEZDZIE STL

PO LUBLINIE (1968), Olsztynie (1970) i ponownie Lublinie (1973) przyszła kolej na Opole, gdzie w dniach 26—27 11 1976 r. obradował IV Krajowy Zjazd Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Impreza ta zgromadziła około 100 delegatów, wybranych na zjazdach sprawozdawczo-wyborczych 13 oddziałów wojewódzkich jak też około 150 zaproszonych gości: reprezentantów władz centralnych i terenowych, członków Rady Naukowej STL, przedstawicieli instytucji i placówek kulturalno-oświatowych, dziennikarzy i miłośników folkloru. Była to więc impreza dużego formatu, proporcjonalna do rangi i roli Stowarzyszenia które może się pochwalić poważnym dorobkiem.

Referat Rady Naukowej przedstawił jej przewodniczący prof. dr Roman Reinfuss, a Zarządu Głównego — prezes Bronisław Cukier. W ostatnich trzech latach liczba członków STL podwoiła się, osiągając stan 898, przy czym pisarze stanowią już tylko około 20% (150 członków), najwięcej jest natomiast rzeźbiarzy (159) bardzo mało zaś kowali (18). Najliczniej reprezentowane w STL są województwa: nowosądeckie, kieleckie, białostockie i lubelskie, jednak jeszcze w 12 województwach organizacja ta nie posiada nawet 1 członka. Bardzo istotne jest również to, że aczkolwiek ponad 40% twórców przekroczyło 60 lat życia, to przecież właśnie w ostatnich latach średnia wieku członków STL, dzięki napływowi młodszej generacji, obniżyła się o około 5 lat, co może napawać optymizmem na przyszłość.

Wygłoszony przez wybitnego etnografa prof. dra Józefa Burszte referat pt. „Rola i miejsce kultury ludowej w społeczeństwie socjalistycznym", wypowiedzi: wiceministra Kultury i Sztuki dra Józefa Fajkowskiego, członka KC PZPR, posła na Sejm, redaktora naczelnego „Chłopskiej Drogi" Mieczysława Roga-Świostka i innych dyskutantów przypomniały ogromne wartości sztuki ludowej, podkreślając jej ścisły związek z historią i kulturą narodową, jak też wskazując na realne możliwości jej rozwoju w dobie cywilizacji.

Fragment sali obrad IV Krajowego Zjazdu STL w Opolu

Fot. Ryszard Emmerling

Oczywiście najpoważniejszą rolę w tym zakresie ma do odegrania STL. Organizacja ta w ostatnich latach objęta została bezpośrednią opieką Ministerstwa Kultury i Sztuki, dzięki czemu wzrósł autorytet członka STL i zdecydowanej poprawie uległy jego uprawnienia i warunki materialno-bytowe. Utworzony przy „Cepelii" Fundusz Rozwoju Twórczości Ludowej pozwolił w ciągu 3 lat udzielić około 380 twórcom pomocy w formie stypendiów czy bezzwrotnych pożyczek na remonty i modernizacje warsztatów pracy na łączną sumę ponad 2 milionów złotych. Żaden też inny kraj na świecie nie uchwalił ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym, gwarantującej renty i emerytury artystom chłopskim na równi z twórcami profesjonalnymi. O uznaniu dla nich świadczy też fakt przyznania (po raz pierwszy właśnie na Zjeździe w Opolu) odznak Zasłużonego Działacza Kultury oraz nagród pieniężnych i dyplomów przez Ministerstwo Kultury i Sztuki wyróżniającym się członkom i działaczom STL.

Nowy Zarząd Główny, na którego czele ponownie stanął Bronisław Cukier z Zakopanego, ma zatem realną, ogromną szansę podniesienia na jeszcze wyższy poziom sztuki ludowej w Polsce, bo — jak powiedział Mieczysław Róg-Świostek — *Sztuka jest nam potrzebna tak, jak powietrze, żebyśmy mogli oddychać.*

Tadeusz Machnowski

POETOM LUDOWYM

Jeśli troskliwie popatrzysz na kwiatek,
kwiat zajaśnieje, serce zblednie.
Jak tu panować nad światem
w przerażające dni powszednie.

Krew i ogień — walczące żywioły
nie znające celu ni granic.
Matowej ziemi słoneczny połysk,
płomienne śpiewy w czas winobrania.

Życie, które palcami przecieka,
w swoim nieśmiertelnym łonie
płaczem wracającego na świat
człowieka
z odchodzącym na tamtą stronę.

Czym są twarde sękate dłonie
potrzebne ziemi jak ziarno
z iskier nadziei — zbóż żywy płomień
umierające jeszcze karmią.

Ostrołęka

Stanisław Buczyński

NIEPOTRZEBNY

Niepotrzebny, niepotrzebny
Złoty Róg...
Mamy inną, mamy własną
Drogę dróg...

I dzień mamy chlebny, jasny,
Własny pług...
Niepotrzebny, niepotrzebny
Złoty Róg!...

Zakopany sznur już zgrzebny
Popod próg...
Niepotrzebny, niepotrzebny
Złoty Róg!...

Koterów

Antoni Pieper

NA MOIM DRZEWIE

Na moim drzewie jesień
przybrała barwę złota,
zachodzącego słońca.
Przekwitła żywość zieleni,
nabrzmiała sokami życia,
wyblakła anemia bezkrwistości,
zlatując niepostrzeżenie
na ziemię płatkami żółtymi
szeleszczących opadaniem liści,
które czas jesieni zrywa
i ogołaca pień istnienia.
Lecą te liście, opadają,
jak dni ubyte, płynnione,
mieszają się z piaskiem
zapomnienia
i już na drzewo nigdy nie wrócą.

Jastarnia (gdańskie)

Był sobie dziad i baba, bardzo starzy oboje... Rzeźby Stanisława Denkiewicza z Jedlni Kościelnej (radomskie)

Fot. Marian Prokopek

Helena Chłopkowa

KWIAT W ZIMIE

Na moim oknie rozkwitł kwiat —
Kwiat w zimie.
Nadzieję szczęścia młodych lat
I czyjeś imię
Przypomniał mi ten kwiat...

Za moim oknem pada śnieg —
Dalej ulica pusta.
Myśli mkną w białą dal,
Wiatr
Umysł wspomnieniem chłosta
Wspomnieniem...

I kwiat, i wiatr, słońce i śnieg —
Na dnie szuflady listy.
Czas, co się wlecze jak ciężki
wiek;
To rzeczywistość.
Rzeczywistość.

Chrzanów (katowickie)

Władysław Koczot

RÓŻANIEC

w białej chuścinie postrzępionej
przez czas nieubłagany jeszcze
przez dziką niewierność losu
przy różowiejącym horyzoncie
dnia
szła zawsze krętą miedzą z pola
do starej chaty drewnianej
zgarbiona pochylona babunia
potem z komina unosiły się
błękitne obłoki dymu nad wioską
wiatr niósł zapach kapusty
kiszonej
w oknie rozbłysł płomień lampy
kładąc cienie na stare świątki
a ja w nie wpatrzony wtedy
odmawiałem drugą część
różańca

Czarnystok (zamojskie)

NIESIEMY DZIEŁO NASZYCH RĄK

Cecylia Zielińska

MIJAJĄ lata. Zmienia się wieś. Coraz rzadziej spotykamy mchem porosłą strzechę, kosiarza. Umilkły cepy przy młocce w stodołach. Na próżno wiatr rozwija prężne skrzydła, dmuchając w próchniejący wiatrak. Rzadko można ujrzeć okrytą błękitnym szalem kwiatów inu grządkę. Skoro dojrzeje, nikt nie będzie obrabiać go pieczołowicie i długo, jak przed laty. Nie będzie prządł, ani tkał płótna, jak ongiś czyniły nasze matki.

O tych i tym podobnych sprawach, o życiu, zwyczajach i obrzędach dawnej wsi, o jej reliktach, tradycji, gwarze, sposobach bytowania, o zaradności i umiejętności w poszukiwaniu wciąż nowych, lepszych form gospodarowania, o jej inwencji przemianach, o walce i uporze w zdobywaniu wiedzy i potrzebnych doświadczeń — najlepiej wiedzą i pamiętają twórcy ludowi. Ich dzieła są bowiem wiernym obrazem przeszłości. Oni to, w skarbonce serca, przechowali ten skarb od ojców wzięty i przekazują go ku pożytkowi i nauce pokoleń.

Dzieła ich rąk przemawiają żywo budzą zachwyt i napawają wzruszeniem. Spójrzmy na wyczarowane dłonią hafciarek kwiaty, na czepce, fartuchy, obrusy, na gobeliny utkane przez tkaczy. Ileż piękna i precyzji mają w sobie wycinanki lub malowanki oraz prace plastyczne? Spełniają one często funkcję użytkową, a przy tym jakże umilają nam życie! Popatrzmy na wnętrza izby strojnej wiązankami ludowych kwiatów. Wygląda ona efektownie, pociąga i budzi refleksje.

Przyjemną i nie mniej miłą dekorację stanowi rzeźba. Można w niej odnaleźć przeszłość polskiej wsi, która wrasta coraz głębiej w historię. Czyż nie ciekawa jest zaklęta w drewno orka we woły, ręczna siejba zboża z płachty, kobiety niosące wodę na noszach zwanych siundami, opartymi na obu ramionach, ze studni, która całej wsi służyła, gosposia klepiąca masło w drewnianej kieżynce itd. itp.

Wiele tych dzieł można znaleźć w muzeach. Stanowią one cenne eksponaty, które złożyli twórcy ludowi. Oni to odnaleźli rzeczy, sprzęty, które ongiś wsi służyły i które były przez jej mieszkańców wykonane — bądź też sami twórcy je zrobili. Rozumiejąc zadanie swego twórczego powołania, złożyli je w muzeach ku nauce i pożytkowi społeczeństwa.

Kogóż one nie urzekają?... Czyż nie wykwintne jest kowalstwo ludowe? Każda, nawet drobna rzecz ozdobiona ornamentem, jest efektowna, cenna, miła dla oka. Jakąż tajemnicę i niepowtarzalne piękno kryją w sobie stroje ludowe! Czyż nie przemiła jest muzyka ludowa kapeli, śpiewki gawędy, stare pieśni i porzekadła? Ileż melodii, światła, prostoty, lotu i kunsztu mieści w sobie poezja ludowa! Nie mówiąc już o roli jaką spełniła w czasie szalejącej burzy wojennej i jaką spełnia obecnie.

Pochylam czoło z uznaniem dla ludzi, których dłonie zakwitają owocem pracy twórczej, ludzi, którzy otwierają serca kluczem swoich dzieł, sieją wzruszenie, uczą i wychowują przez sztukę. Ci ludzie kładą najwspanialszą cegiełkę w budowę pokoju i lepszego jutra naszej Ojczyzny!

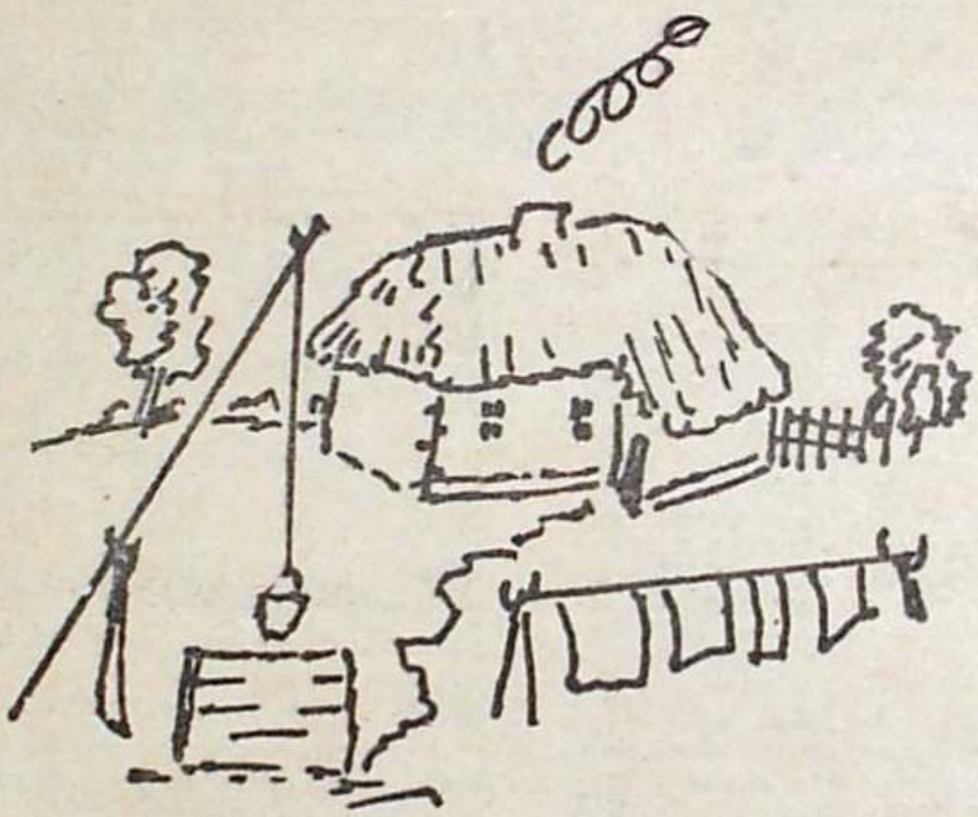

Rys. Cecylia Zielińska z Michelina (włocławskie)

Rozstrzygnięcie konkursu na pamiętniki chłopów

ROZSTRZYGNIĘTY został konkurs pt. „Moja wieś dawniej i współcześnie", ogłoszony przez Muzeum Wsi Lubelskiej w 1975 roku dla mieszkańców pięciu województw: białskopodlaskiego, chełmskiego, lubelskiego, siedleckiego i zamojskiego, na który wpłynęło 45 prac. Jury w składzie: doc. dr hab. Alina Aleksandrowicz (przewodnicząca), mgr Maria Grybel — Meksuła (sekretarz), mgr Alfred Gauda, Ryszard Królikowski i dr Piotr Kryczka, po zapoznaniu się z liczącym blisko 2000 stron nadesłanym materiałem pamiętnikarskim, przyznało:

I nagrodę — 5000 zł — Franciszkowi Manajowi z Warszawy. II nagrodę — po 4000 zł — ex aequo Wacławowi Darukowi z Zadębca (zamojskie) i Edwardowi Rudnickiemu z Borowa (chełmskie) III nagrodę — po 3000 zł — ex aequo: Stefanowi Sidorukowi ze Stawek (chełmskie), Józefowi Struskiemu z Izabelmontu (lubelskie) i Helenie Twarogowej z Lublina.

Wyróżnienia — po 1000 zł — ex aequo otrzymali: Michalina Czwalikówna z Siedlisk (chełmskie), Kazimiera Wiśniewska ze Sławęcina (zamojskie), Czesława Liponoga z Księżomierza (zamojskie), Helena Kwiatek z Zachacia (białskopodlaskie) i Jan Ignaciuk z Lublina. Ponadto przyznano pięć wyróżnień (rzeczowych) drugiego i 12 wyróżnień trzeciego stopnia oraz sześć nagród książkowych.

Przyznanie tak dużej ilości nagród i wyróżnień spowodowane zostało wysokim i wyrównanym poziomem konkursu, którego materiały utrwaliły okres od czasów pańszczyźnianych (dzięki wykorzystaniu wspomnień dziadków pamiętnikarzy) aż do współczesności. Dzięki temu można w oparciu o ich lekturę prześledzić bogate i skomplikowane życie wsi lubelskiej w ciągu minionego stulecia i poznać jej drogę ku dniowi dzisiejszemu.

Melania Burzyńska

OKRUCHY

Kto sam dobry, ten zwykle, gdy sądzi bliźniego,
najpierw widzi w nim dobro, niżeli coś złego.

●

Dobre chęci na czyny dobre daj w zamianę,
bo dobrymi chęciami piekło brukowane.

●

W kościele czasem wielki tłum na Boga czeka,
a On ze świecą w ręku szuka w nim człowieka.

●

Bogactwo — słona woda, gdy się ją pić nagniesz,
to nie gasisz pragnienia, jeszcze więcej pragniesz.

●

Piękną jest każda wiosna, rajem ją być mienią,
ale wszelkie owoce zbiera się jesienią.

Jaświły gm. Mońki

SYN ZIEMI SĄDECKIEJ

OD powstania w Lublinie w 1965 roku Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy Ludowych minęło zaledwie jedenaście lat, zaś od narodzin Stowarzyszenia Twórców Ludowych osiem, a przecież nieubłaganie, rok po roku topnieją szeregi pisarzy chłopskich, założycieli obu organizacji. Spośród dokładnie 100 członków MKPL według stanu na dzień 1 maja 1966 roku brak dziś już ponad 20. Przypomnijmy ich nazwiska, by uświadomić sobie, jak wielka jest luka, która wytworzyła się po ich odejściu: Michał Basa, Józef Basa, Franciszek Becinski, Władysław Drewczyński, Władysław Flis — Jutrznia, Paulina Hołyszowa, Stanisław Jadczak, Janina Jaworska — Demczuk, Józef Kapusciński, Stanisław Paleczny, Jan Pastuszenko, Jan Pocek, Bogusław Rosinski, Józef Rys, Teodor Sapiecha, Andrzej Skupień — Florek, Seweryn Skulski, Alojzy Śliwa, Katarzyna Zaborowska, Ksawery Złomanski, Piotr Krzykalski. A trzeba jeszcze dodać tych pisarzy, którzy wstąpili do MKPL nieco później, jak np. Edward Bychawski, zajmujący się obok kowalstwa także poezją, Piotr Piech, Marcin Sowa, Jan Wawer.

O ile jednak trzeba pogodzić się z tą smutną rzeczywistością, to nie da się ukryć budzącego uzasadnioną gorycz i niepokój faktu, że ludzie ci, niejednokrotnie mający za sobą cenny dorobek i ogromne zasługi dla literatury ludowej odchodzą spośród nas niemal niewidocznie, odprowadzani na miejsce wiecznego spoczynku przez rodzinę i garstkę sąsiadów zaś społeczeństwo (w tym niestety również Stowarzyszenie Twórców Ludowych) dowiaduje się o kolejnej stracie często z bardzo poważnym opóźnieniem.

A jakie losy spotkały tak przecież niejednokrotnie pieczołowicie zbierane przez długie lata rękopisy, maszynopisy i wycinki prasowe, fotografie, korespondencje, książki z pamiątkowymi wpisami uczestników spotkań autorskich, dyplomy, świadectwa uczestnictwa w najrozmaitszych imprezach folklorystycznych, dowody udziału w kiermaszach, konkursach, festiwalach, rejestry spotkań ze słuchaczami, dokumenty pracy społecznej i politycznej?

Nie inaczej ma się rzecz z Piotrem Krzykalskim, jednym z najstarszych i najbardziej zasłużonych poetów chłopskich, który zmarł 22 lipca 1976 r., przeżywszy 77 lat. Urodził się 5 lipca 1899 r. w Dąbrowce Polskiej, w b. powiecie nowosądeckim. Ukończył 5 klas szkoły podstawowej, pomagając od najmłodszych lat rodzicom w gospodarstwie rolnym. Mając 16 lat wstąpił ochotniczo do Legionów, a normalną służbę wojskową skończył dopiero w 1921 r. Następnie pracował w fabryce wagonów w Sanoku i w przedsiębiorstwie drogowym w Krośnie. W tym czasie ożenił się.

Z perspektywy czasu można dziś śmiało stwierdzić, że właśnie ten okres w życiu Krzykalskiego pozwolił mu na skrystalizowanie właściwego światopoglądu i trwałe związanie się z ruchem ludowym. W 1924 r. wstąpił on do Związku Chłopskiego, gdzie stykał się m. in. z Janem Stapińskim. Uczestniczył w historycznym Kongresie w 1930 r. w Warszawie, na którym jako emblemat Stronnictwa Ludowego ustalono czterolistną koniczynkę. W 1930 r. został wójtem w Poznańskiem, zaś w 1937 r. już do końca życia związał się z Nowym Sączem, gdzie początkowo pracował w urzędzie skarbowym, a później utrzymywał się z renty inwalidzkiej i małego ogródka, każdą wolną chwilę poświęcając na oprowadzanie wycieczek po Sądeczyźnie.

Zadebiutował w 1936 r. wydaną w Lesznie broszurą pt. „Ku rozwadze". Jak zmniejszyć stan bezrobocia i podnieść rolnictwo". Pęd do poezji wyzwoliły w nim jednak dopiero lata drugiej wojny światowej. Poczuł się niejako zobowiązany do utrwalenia pamięci martyrologii i bohaterstwa narodu. W ten sposób powstał zbiór, który wydał w 1946 r. własnym nakładem pt. „Łzy znad brzegów Dunajca ujęte w wiersze ludowe z czasów niewoli 1939—1945" w imponującym — chyba nie tylko na owe czasy, jeśli chodzi o poezję chłopską — nakładzie 3000 egzemplarzy. Mimo to książka zginęła z półek księgarskich tak szybko, że już w 1947 trzeba było wydać ją po raz drugi poszerzoną o nowe utwory, w nakładzie 5000 egzemplarzy, ale i po nich ślad zaginął równie szybko.

Od tego czasu wiersze Krzykalskiego zaczęły coraz częściej trafiać na łamy prasy regionalnej i centralnej, weszły do wielu antologii poezji ludowej, znalazły uznanie jurorów konkursów literackich, część ich zaś została opublikowana w tomiku pt. „Szarotki" wydanym w 1967 r. Jego twórczością zainteresowała się też kapela Feliksa Dzierżanowskiego, wprowadzając do swego repertuaru na stałe w 1948 r. jego „Pieśń sądecką". On sam zaś należał do współorganizatorów i następnie najaktywniejszych działaczy Międzywojewódzkiego Klubu Pisarzy Ludowych (którego był wiceprezesem) i Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Mało też można było znaleźć tak namiętnych popularyzatorów folkloru sądeckiego.

Tkwiąc mocno w postępowych tradycjach literatury ludowej, poeta śmiało sięgał po współczesną formę i treść, głosząc chwałę tworzenia tego, co nowe, pisząc kronikę naszych dni, w których budowie uczestniczył z zapałem, jak przystało na „Syna Ziemi Sądeckiej".

Tak się sam nazwał.

Zamiast komentarza do twórczości Piotra Krzykalskiego warto przytoczyć choć kilka zdań z obszernego listu, jaki otrzymał on z datą 6 sierpnia 1946 r. od Kornela Makuszyńskiego, który tak oto 30 lat temu kwitował odbiór pierwszego tomiku poezji chłopskiego artysty:

Gorąco dziękuję Panu za ofiarowany mi egzemplarz swego tomu pt. „Łzy znad brzegów Dunajca". Ustawiłem go po słonecznej stronie mojej biblioteki, wśród książek najuczciwszych. Książka Pańska szara jest, jak skowronek i zgrzebna, jak chłopskie płótno, tkane domowym sposobem, a bielone w słońcu. Jest cicha, biedniutka i pokorna i to jest największa jej cnota (...)

Ja czytałem ją z tym rozrzewnieniem, z jakim się słucha modlitwy dziecka, które nie zna fałszu. Cały Pański tomiczek jest modlitwą jasną i niewymyślną, ale tak szczerą i tak bezgrzesznie uczciwą, jak serce prawego człowieka. Wiersze pańskie przypominają górską wodę; rwie ona brzegi poetyckich kanonów, tworzy głębiny, ale rozlewa się też w płyciny, płynie, jak Bóg da, szumi rozgłośnie i cichnie, lecz zawsze jest czysta. Pańska książka czysta jest w każdej literze...

r.

Autonomiczny dodatek „Ziemia i Pieśń" pod redakcją dr. Romana Rosiaka.

„UNIA" PO RAZ CZWARTY

Tych parę niedomówień...

PRZED Sądem Rejonowym w Lublinie (IV Wydział Karny) zapadł wyrok na Stanisława K., byłego szefa kuchni w restauracji hotelu „Unia". Sprawa ta trzykrotnie gościła na naszych łamach, pisała też o niej prasa codzienna.

Stanisław K. został oskarżony o to, że jako odpowiedzialny materialnie za kuchnię spowodował niedobór 460 tysięcy złotych w okresie 1 I 72 r. — 31 I 74 r. oraz przywłaszczył sobie 3000 złotych ze sprzedaży pracownikom mięsa, wędlin i herbaty.

Za czasów pracy Stanisława K. w „Unii" kierowały przedsiębiorstwem kolejno dwie ekipy: od momentu otwarcia w 1971 r. do połowy 1973 r. — dyrekcja nr I (dyrektor i wicedyrektor) oraz od połowy 1973 r. do początku 1976 r. — dyrekcja nr II (dyrektor i wicedyrektor). Niezmienną postacią natomiast pozostawał kierownik gastronomii, bezpośredni przełożony Stanisława K. Gdy Stanisław K. siedział w areszcie tymczasowym, kierownictwo przedsiębiorstwa objęła trzecia, całkiem nowa ekipa, która ze sprawą nie ma nic wspólnego.

Jak wynika z materiałów śledztwa, tak znaczny niedobór powstał wskutek kilku powodów. Stanisław K. wydawał sobie i pracownikom kuchni posiłki, znacznie przekraczające przysługujący na ten cel oficjalny limit. Pił wódkę w godzinach pracy, zostawiając na widocznym miejscu klucze od magazynu, co stwarzało możliwość kradzieży. W kuchni panował bałagan i zdarzało się, iż do produkcji potraw dawano surowiec z przekroczeniem obowiązujących norm.

Te okoliczności zostały uwzględnione w akcie oskarżenia. Świadkowie zeznawali w śledztwie o jeszcze jednej, bardzo znamiennej sprawie, która nie znalazła wyrazu w akcie oskarżenia. Że mianowicie Stanisław K. obdarowywał mięsem oraz wyrobami wędliniarskimi zarówno dyrekcję nr I jak i nr II oraz kierownika gastronomii. Że całej piątce także wydawał śniadania i obiady, znacznie przekraczające obowiązujący limit. Oczywiście wszystko to bezpłatnie i z surowców będących własnością przedsiębiorstwa.

W śledztwie podejrzany zaprzeczył owym darowiznom i bezpłatnym konsumpcjom, z jednym wszakże wyjątkiem, dotyczącym wicedyrektora nr I. Ten ostatni miał często i wyraźnie żądać od Stanisława K. nadprogramowych schabów, szynek, kiełbas myśliwskich. I — wedle podejrzanego — otrzymywał. W materiałach śledztwa, które trafiły do sądu, brak zeznań dyrektorów nr I i nr II, jak również wicedyrektora nr I. Cała trójka nie została powołana przed sąd w charakterze świadków. Akt oskarżenia wyraźnie podkreśla brak nadzoru ze strony dyrekcji nr I i nr II nad wykonywaniem przez Stanisława K. obowiązków służbowych.

Z całości sprawy Stanisław K. jawi się jako człowiek słaby, lubiący nadużywać alkoholu, ulegający swym dyrektorom, którzy z kolei tolerowali jego słabostki. Za czasów dyrekcji nr I wykryto w kuchni niedobór na kwotę około 13 tysięcy złotych. Lecz dyrekcja na prośbę Stanisława K. anulowała ten remanent, sam zaś zainteresowany zakupił i wstawił do kuchni towary, tak by powtórny remanent się zgadzał. Kiedy już trwały dochodzenia i kontrole związane z wykrytym niedoborem, dyrektor nr II — jak zeznaje pewien świadek — zapewniał Stanisława K., że sprawa „zostanie załatwiona".

Ostatecznie „sprawą" zajęły się nie tylko lokalne organa ścigania czy kontroli, ale również lubelska prasa, a wreszcie kontrole ze szczebla centralnego i Stanisław K. został aresztowany, a następnie postawiony w stan oskarżenia i akta skierowano do sądu. W „Kamenie" ukazał się wówczas artykuł pt. „Jest winny, można odetchnąć". Trzeba dodać, iż w końcowym etapie śledztwa uczestniczyła Komenda Główna MO, gdzie Stanisław K. złożył zeznania obciążające wicedyrektora nr I.

Ostatni artykuł „Kameny" na temat sprawy Stanisława K. został wymieniony w przeglądzie prasy jednego z pism warszawskich, gdzie zapytano, czy limit na wyżywienie dla pracowników kuchni nie jest zbyt niski i czy to nie rodzi niebezpieczeństwa takich właśnie jak opisana kradzieży?

Kwestię trzeba wyjaśnić. W trakcie rozprawy sąd wyraźnie solidaryzował się ze stanowiskiem, iż limit ten traktuje się jako dodatek do poborów, wchodzący w fundusz płac, nie zaś jako kwotę, która ma pracownikowi zapewnić wyżywienie w przedsiębiorstwie. To pierwsze. Po drugie — limit wynosi dla szefa kuchni i kuchmistrzów 13 złotych dziennie (mnożone przez 30 dni), dla pozostałych zaś pracowników kuchni po 7 złotych. W kuchni jednak demokratycznie oba te limity się bilansuje i nie rozdziela menu dla kierownictwa i dla „reszty". A ponadto ludzie nie pracują i nie korzystają z wyżywienia przez 30 dni w miesiącu. Gdy to wszystko uwzględnić, limit dla osoby wynosi około 20 złotych dziennie i to nie w cenach gastronomicznych, lecz — przynajmniej w pionie orbisowskim — detalicznych. Za to już można zjeść i jakieś śniadanie, i znośny obiad. Powtarzam — w cenach detalicznych surowca!

Wielkie widać musiały panować apetyty w kuchni „Unii", skoro i w takich możliwościach nie mogli się pracownicy zmieścić. Sprawa jest drażliwa, a też i wymagająca szczególnej uwagi ze strony dyrekcji nr III, albowiem podczas rozpraw sądowych niektórzy pracownicy kuchni zeznawali, że nadal jada się tam jak za dawnych czasów. „Jeśli chodzi o jadłospis, nic się nie zmieniło" — powiedzieli!

Stanisław K., jak każdy człowiek słaby, chce uchodzić za mocnego mężczyznę. Przed sądem nie powiedział złego słowa o tych, którzy odetchnęli. Coś tam jedynie się przewinęło o obiadach, których wartość była wyższa, niż na to opiewały oficjalne czeki dyrektorskie. Wycofał nawet swoje zeznania dotyczące wicedyrektora nr I. Dlaczego tak zeznawał w śledztwie? — chciał się dowiedzieć sąd. Ponieważ milicja go zmusiła — odpowiadał. Oskarżony ma prawo się bronić, ma prawo chronić innych. Stanisław K. nie obrał najmądrzejszej linii obrony, stosował taktykę zaprzeczeń i przemilczeń. Szary, szczupły, niepozorny, chciał uchodzić za bohatera, „równego chłopaka", który „nie sypie". I to wszystko wbrew zeznaniom świadków, wbrew nawet swym własnym poprzednim zeznaniom. Wbrew materiałom, z których wynika, że był bardziej narzędziem niż prowodyrem. Ze z owych 460 tysięcy miał najwyżej parę wódek z dobrą zakąską.

Niezależnie od postawy Stanisława K. jest w tej sprawie nieco przemilczeń, niejasności, kwestii podlegających tyleż kodeksom prawa co osądom moralnym. Może to właśnie stanowiło milczący kontekst przewodu sądowego? W swym zasadniczym wymiarze wyrok poszedł po linii niezbyt wygórowanych żądań prokuratora. Stanisław K. został uznany winnym obu zarzucanych czynów. Za spowodowanie niedoboru skazano go na trzy lata pozbawienia wolności, 15 tysięcy złotych grzywny oraz zakaz zajmowania stanowisk związanych z materialną odpowiedzialnością przez trzy lata. Za zagarnięcie — na rok pozbawienia wolności i 2 tysiące złotych grzywny. Mocą amnestii ten rok został mu darowany, zaś kara trzech lat złagodzona do 1,5 roku. Grzywna łączna opiewa na 15 tysięcy złotych; skazanemu zaliczono areszt tymczasowy i bezpośrednio z sądu wyszedł on na wolność.

Żeby postawić sprawę całkiem jasno — mnie ten wyrok wydaje się salomonowy. Stanisław K. wystarczająco już ucierpiał za swoją nieroztropność, słabość i niedojrzałość. Ucierpiał poprzez ten areszt i proces. Tym bardziej, że choć znajduje się na wolności, nie koniec jego kłopotów.

Dowiedziałem się, że „Unia" zamierza wystąpić na drogę cywilną przeciwko Stanisławowi K. z roszczeniem o owe 460 tysięcy złotych. Takie są przepisy obowiązujące przedsiębiorstwo. Dowiedziałem się też, że „Unia" nie zamierza dochodzić od kogokolwiek kwoty 40 tysięcy, z którymi to pieniędzmi były szef kuchni nie ma już nic wspólnego, ma natomiast wiele wspólnego dyrekcja nr II, za której zgodą w dniach 17 X — 5 XI 74 r. bezpłatnie nocował w hotelu, suto podejmowany, egzotyczny zespół rozrywkowy pod wezwaniem „Caban".

Kontrola odpowiedniego zjednoczenia wspaniałomyślnie wliczyła kwotę należną z tego tytułu w dopuszczalny rabat udzielony „Cabanom" przez dyrekcję hotelu. Proponuję, aby odpowiednie zjednoczenie pomogło znaleźć Stanisławowi K. pracę. Nie będzie to przesadna wspaniałomyślność, choćby dlatego, żeby zabezpieczyć spłatę kwot, które od Stanisława K. może na rzecz „Unii" zasądzić sąd w sprawie cywilnej.

Podciej

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 50 LATY

Na 4 106 osób w Lublinie wypada 1 skrzynka pocztowa. Terytorialny stosunek przedstawia się o wiele gorzej. Jest więc rzeczą ze wszech miar pożądaną, by Urząd Pocztowy zwiększył ilość skrzynek pocztowych. W obecnych bowiem warunkach trzeba przejść kilka ulic, zanim dotrze się z listem do skrzynki pocztowej. W lecie — pół biedy. Gorzej podczas słót jesiennych, lub w zimie.

■

Na europejskim konkursie piękności filmowych, urządzonym przez wytwórnię „Fanamet", pierwszą nagrodę w Berlinie zdobyła Polka — p. Aniela Bogucka z Warszawy. Została zaangażowana do Hollywood. Nic dziwnego, że laureatka konkursu piękności w Lublinie, p. Maryla Czaplicka nie zwyciężyła p. Boguckiej w Warszawie, skoro w Berlinie nie potrafiły tego dokonać najpiękniejsze kobiety Europy.

■

Komitet, złożony z członków Kasy Literackiej i Tow. Dziennikarzy i Literatów w Warszawie, 16 lutego przyznał nagrodę literacką im. Elizy Orzeszkowej znanemu literatowi Andrzejowi Strugowi.

■

Jednym z najpospolitszych i pogardzanych powszechnie przedmiotów jest guzik. A jednak stanowił on kiedyś wielką nowość i był zadziwiającym wynalazkiem. Właśnie upłynęło obecnie 100 lat od chwili, gdy guziki zaczęto wyrabiać jako artykuł masowy. Mianowicie w roku 1827 Amerykanin, Samuel Williston, wynalazł maszynę do robienia guzików, która umożliwiła masowy ich wyrób. Maszyna ta produkowała początkowo tylko guziki metalowe. Dawne guziki wyrabiane ręcznie w rogu, cyzelowane w srebrze, kute w złocie, były kosztowne i nierzadko przechodziły w spadku z ojca na syna.

Dzisiaj maszynowemu wyrobowi guzików nic nie stoi na przeszkodzie. Obrabiana jest w tym celu masa perłowa, jak i kość słoniowa, tak drzewo, jak i emalia, nie ma prawie narodu, któryby nie wziął udziału w modernizowaniu guzików. Tak np. pewien Duńczyk wynalazł guziki drewniane, obciągane materiałem. Francuzowi udało się wynaleść maszynę, wytwarzającą guziki rogowe. Porcelanowe guziki zawdzięczamy Anglikowi, a szklane wyrabiane są w jednej z fabryk czeskich.

„Ziemia Lubelska"

■

Gazownia w Lublinie wybudowana staraniem i pod kierownictwem inż. Anastazego-Lubomila Suligowskiego w latach 1879—1882 została uruchomiona w listopadzie 1882 r. i na zasadzie koncesji udzielonej temuż inż. przez Magistrat miasta Lublina oddana do eksploatacji koncesjonariuszowi na przeciąg 40-tu lat, z tem że po upływie oznaczonego czasu Zakład Gazowy ze wszystkimi budynkami, aparatami i urządzeniami — wiecznie z rurociągiem ulicznym, przejdzie bezpłatnie na rzecz Miasta. Ponieważ w końcowym okresie koncesji nie były oczywiście czynione żadne inwestycje, ostatnie zaś lat przypadły na czas trwania wojny światowej, przeto Miasto otrzymało gazownię bardzo zrujnowaną, (...). Po przejęciu gazowni w końcu stycznia 1923 r. — przystąpiono natychmiast do remontu i niewielkich inwestycji.

■

Jeżeli sądzić według Prusa z ilości zużytkowanej wody i mydła, o kulturze naszego miasta — to sąd ten wypadłby w porównaniu z innymi miastami bardzo dla nas ujemnie. Według bowiem statystyki Wydziału Zdrowia Publicznego w r. ub. korzystało z kąpieli ludowych 38 128 osób (czyli trzecia część Lublinian kąpie się raz do roku, a reszta wcale), gdy tymczasem taki Włocławek — miasto znacznie od Lublina mniejsze, wykąpało w tym samym czasie 60 000 osób. I nie można tu kłaść winy na karb mieszkańców miasta, przypisując im brak zamiłowania do czystości lub wstręt do wody. Zło leży w tym, że Lublin posiada tylko dwa kąpieliska ludowe. Dla przeszło 100 000 ludności — to stanowczo za mało.

■

W mieście naszym bawi przybyły tutaj w dniu wczorajszym (24 luty) Holender, który w 1920 r. rozpoczął wesoół z kolegą-turystą podróż naokoło świata na tandemie. Po przebyciu całego szeregu krajów w różnych częściach świata, po 6 latach najrozmaitszych przygód, podróżnicy dotarli wreszcie do Polski, a po drodze przez nasz kraj do Lublina. Ich stroje narodowe, szerokie czarne szarawary i drewniane sabaty budziły wszędzie zrozumiałą sensację. Świata ich podróż skończy się w roku 1928 na powrocie do Holandii.

■

W roku bieżącym przypada 45-lecie pracy literackiej Marii Rodziewiczówny. Zrzeszenia kobiece wystąpiły z inicjatywą obchodu jubileuszowego.

„Głos Lubelski"

Wybrała Zofia Luchowska

Dominik Opolski

MYŚLI

Komu zaufać, aby samemu nie stracić zaufania?

●

Stracił wiarę. Bo zyskał pewność.

●

Poznaj samego siebie, abyś nie pomylił się z innym.

●

Komplement w ustach wroga jest często obelgą.

●

Wprawne oko wie, kiedy ślepnąć.

●

Wiadomości podawane z ust do ust przypominają sztuczne oddychanie.

kultura 1977

FILM

■ Colargol, sympatyczny miś-poliglota, ulubieniec dzieci, przeniósł się z małego ekranu na duży. W Łodzi odbyła się właśnie prapremiera jego pierwszego — bo w planie jest już drugi — filmu pełnometrażowego pt. „Colargol na Dzikim Zachodzie". Jest to zarazem pierwszy polski pełnometrażowy film lalkowy, zarazem prawdziwy western — zła banda, pościg za dyliżansem, Indianie, rodeo, bizony itd. Poprzednio ponad 50 odcinków telewizyjnych, podobnie jak obecny film, zostało nakręconych przez wytwórnię Łódzką Se-Ma-For i francuską Procidis. Te 50 odcinków to 12 godzin wyświetlania, a więc więcej niż „Potop".

■ Nasza kinematografia wciąż cierpi na brak scenariuszy. Zespół „Profile" w ciągu dwóch lat istnienia otrzymał 90 propozycji tematycznych, z których połowę uznano za godne opracowania scenariuszy. Ale do realizacji skierowano ostatecznie tylko 9 — głównym brakiem była nieumiejętność przenoszenia treści literackich na język kina.

■ 116 kin, 110 milionów widzów rocznie — oto dorobek Moskwy. Aż sto kin zbudowano w ostatnim ćwierćwieczu. Największe są „Rosija" i „Oktiabr" — każde po 3 tys. miejsc. Premiery polskich filmów odbywają się w kinie „Warszawa", mającym 1400 miejsc, które w niedziele wieczorem staje się teatrem — tam z reguły występują polskie zespoły estradowe. 13 kin przeznaczonych jest dla dzieci, a 9 wyświetla tylko filmy dokumentalne i kroniki.

■ Aż trudno uwierzyć, ale faktem jest, że w RFN nie istnieje centralne archiwum filmowe. Wprawdzie są różne zbiory miejskie i prywatne, ale są one gromadzone tylko pod pewnym kątem, odpowiadającym zbierającemu. O konieczności utworzenia centralnego archiwum, które wypełniło by potężne luki w zbiorach, mówi się od lat dwudziestu. Ale ponieważ nie ma zgody, kto ma się tym zająć, archiwum jak nie było tak nie ma. Dla odmiany archiwum takie istnieje w NRD i posiada 40 tys. filmów, wszystkie kopiowane na taśmie niepalnej.

LITERATURA

■ Jak doniosła „Gazeta Południowa", ujawniono istnienie ponad 49 listów Kornela Makuszyńskiego. Korespondencja pochodzi z lat 1911—1956, a dotyczy nie tylko spraw rodzinnych, ale także twórczości nadawcy. Pisał je Makuszyński do swojej szwagierki Haliny Zabierzowskiej i jej męża. Od adresatki otrzymał je przed dwoma laty jeden z mieszkańców Tarnowa, który jednak nie chce ich przetrzymywać w prywatnej bibliotece. Być może więc, iż znajdą się one w Muzeum Makuszyńskiego w Zakopanem.

■ Gerard Górnicki, wiceprezes oddziału ZLP w Poznaniu, złożył w Wydawnictwie Poznańskim książkę pt. „Ostatnia przygoda Łazarza". Jest to jakby dalszy ciąg problemu, który od lat niepokoi pisarza — powroty ludzi do miejsca zamieszkania i młodości. Ale pracuje także nad nową książką pt. „Ogrody Joanny" — sprawy współczesnej kobiety.

■ Minęła niedawno, przemilczana w prasie, 75 rocznica urodzin wybitnego poety tureckiego Nazima Hikmeta. Więziony w ojczyźnie za postępowe przekonania, przebywał potem w Polsce, skąd pochodzili jego przodkowie, a wreszcie w Związku Radzieckim. Mało kto wie, iż marzył on o założeniu własnego teatru, o czym nawet powiedział w przeprowadzanej na żywo audycji w telewizji moskiewskiej. Planu tego jednak nie zdążył zrealizować — zmarł w 1963 roku.

■ Wydarzeniem w życiu literackim Białorusi stał się nowy tom wierszy Maksyma Tanka pt. „Droga ukołysana żytem". Krytycy podkreślają, że Tank pozostał wierny swoim zasadom — w jego wierszach pełno zadumy nad życiem, radościami i trwogami naszych czasów, dążeniami ludzi.

MUZYKA

■ Znany z „Piwnicy pod Baranami" aktor, reżyser, scenarzysta i piosenkarz Mieczysław Święcicki otrzymał ostatnio list od Polki Ireny Kreski, wielkiej miłości Wertyńskiego, a to w związku z płytą, na której nagrano romanse Wertyńskiego w jego wykonaniu. „Słucham jej codziennie z młodzieńczym rozczuleniem — pisze autorka listu — i nadzieją, że jednak nie pędzimy do przepaści obyczajów i moralnego bagna. Od wyjazdu z Polski mieszkam stale w Detroit i Pańska płyta jest mi dlatego tak droga".

■ 1 lutego minęła setna rocznica urodzin znakomitego kompozytora, dyrygenta i wirtuoza organowego Feliksa Nowowiejskiego. W filharmoniach i operach odbyły się z tej okazji różne spektakle. Urodził się w Barczewie pod Olsztynem. Z jego bogatej twórczości przypomnijmy tylko „Rotę" do słów Marii Konopnickiej, wykonaną po raz pierwszy podczas odsłonięcia pomnika Jagiełły w Krakowie.

■ W Antwerpii zainaugurowano uroczyście rok Rubensa z okazji 400-lecia urodzin wielkiego malarza. Wystawiono operę Monteverdiego „Orfeusz", gdyż przypuszcza się, że mógł on być obecny na jej prapremierze w Mantui.

OPINIE

■ „Nasilającym się z każdym rokiem zjawiskiem jest zresztą coś w rodzaju współczesnej odmiany neoregionalizmu (...) A ważne w tych książkach jest to, że osobiste przeżycia pojedyńczego człowieka splatają się z doświadczeniami ogólnymi, środowiskowe zwyczaje i obyczaje wiążą się z przypisaniami klasowymi i narodowymi, polityka z wierzeniami, a losy indywidualne z pospólnymi". (Feliks Fornalczyk, „Literatura" nr 5).

■ „Największe zło, jakie współczesność wyrządza człowiekowi, to jego dehumanizacja, zredukowanie go prawie do przedmiotu i usiłowanie oderwania go od jego zasadniczego obszaru ontologicznego. Alienacja człowieka od samego siebie jest zagrożeniem naszych czasów". (Filozof indyjski Ramakant Sinari, „Studia Filozoficzne" nr 10/11).

■ „Tworzenie rysunku — rysunku autentycznego, nasyconego emocjonalnym, poetyckim i w pełni osobistym przeżywaniem świata — jest dziś najbardziej chyba bezinteresowną działalnością twórczą. (...) Rysunkiem nie obsyła się nawet festiwali czy innego rodzaju mocnych uderzeń zbiorowych. Rysunku się nie kolekcjonuje, o ile nie jest on dopełnieniem działalności w tamtych dziedzinach plastyki: rysunku się również nie sprzedaje". (Wojciech Skrodzki, „Kultura" nr 6).

■ „Co to jest za facet, który sądzi, że jest doskonały? (...) Doskonały nie lubi doskonalszych. Dać takiemu doskonałemu karabin, a zastrzeli każdego, kto jego doskonałości nie doceni". (Janusz Przybysz, „Tydzień" nr 5).

■ „Ciekawe, że znika powoli z języka potocznego słowo „społecznik", oznaczające kogoś, kto pracę dla innych uczynił główną treścią swego życia. „Działacz społeczny" znaczy to samo tylko formalnie (...) ma ono w sobie też jakiś aspekt formalny, biurokratyczno-zawodowy". (Leszek Kamiński — „Itd" nr 6).

TEATR

■ Tylko teatrolodzy wiedzą — więc rzecz warto upowszechnić — że pierwsze polskie przedstawienie kukiełkowo-bajkowe w Opolu odbyło się w roku 1971. Były to „Cztery mile za piec" według Marii Konopnickiej, przygotowane przez Alojzego Smolkę. Wśród prawdziwej powodzi różnych „leci" — czterdziestolecie teatru lalkowego im. A. Smolki w Opolu zasługuje na szczególną uwagę.

■ W dniach 3—7 kwietnia odbędzie się w Szczecinie XII Ogólnopolski przegląd teatrów zawodowych małych form. W imprezie tej, przebiegającej pod hasłem „Człowiek — Świat — Polityka", pokazanych zostanie 13 spektakli. Komisji artystycznej przewodniczy A. Łapicki.

■ Gdy w telewizji francuskiej wyświetlono sztukę Anouilha „Młody człowiek i lew", pomylono kolejność pudełek i powstał cały galimatias. Prasa zaatakowała telewizję ostro, nie był to bowiem pierwszy tego rodzaju przypadek. W odpowiedzi w dzienniku telewizyjnym stwierdzono, że krytykowanie telewizji, instytucji państwowej, jest „szokujące i nie do zaakceptowania". Dziennik „Le Figaro" na to, że telewizja pełni służbę publiczną i powinna ją pełnić wzorowo, że funkcjonuje tylko dzięki podatkom płaconym przez telewidzów, którzy nie chcą być za własne pieniądze lekceważeni.

■ Mija właśnie sto lat od amerykańskiego debiutu Heleny Modrzejewskiej. Po nieudanej próbie prowadzenia fermy przeżyła wiele upokorzeń w światku teatralnym, nazywano ją „panią z towarzystwa z teatralnym bzikiem". Wreszcie po „występach" przed kilku osobami, władającymi California Theatre, zagrała na scenie, odnosząc z miejsca ogromny sukces. Do męża wysłała telegram: „Zwycięstwo".

■ Za najciekawszą rolę aktorską w nowym sezonie w Moskwie uznano zgodnie rolę Iwanowa w sztuce Czechowa pod tym samym tytułem, graną przez Innokientija Smoktunowskiego. Dodajmy, że w czasie prób aktor równocześnie występował w dwóch filmach. I jeszcze — że jest to debiut artysty na scenie Moskiewskiego Akademickiego Teatru Artystycznego MCHAT.

■ Coraz większe powodzenie w Szwajcarii zyskuje awangarodowy, zaangażowany politycznie teatr grupy T'Act. Zdaniem reżysera, Andre Steigera, tworzenie teatru politycznego nie polega na graniu dla szerszego kręgu odbiorców, ale do rozszerzania tego wąskiego grona. Bogactwo środków wyrazu powinno być bogactwem wyrażonych idei. W grupie nie istnieją żadne etaty aktorskie, nie ma norm, teatr musi zarobić sam na siebie.

TELEWIZJA

■ Niewątpliwie wiele dyskusji wywoła wśród lekarzy przygotowywany przez Andrzeja Titkowa (według scenariusza Aleksandra Minkowskiego) pełnometrażowy film telewizyjny pt. „Wysoka góra". Akcja toczy się w środowisku lekarzy i porusza sprawy etyki zawodowej, na co lekarze są szczególnie wrażliwi.

■ Ostatnie dni życia Janusza Kusocińskiego, złotego medalisty olimpiady w Los Angeles w 1932 r., zobaczymy w filmie telewizyjnym pt. „Ostatnie okrążenie". Reżyseruje Krzysztof Rogulski. „Ostatnie okrążenie" stanowi część serialu „Wyczynowcy", który powstaje w zespole „Tor".

■ Telewizja moskiewska nadała ostatnio czterodcinkowy serial oparty na powieści Ilfa i Pietrowa „12 krzeseł". Przed wojną był to film nakręcony w koprodukcji polsko-czechosłowackiej z Adolfem Dymszą i Vlastem Buriankem. Zdaniem widzów, jak również krytyka z pisma „Litieraturnaja Gazieta", adaptacja nie udała się. Ciekawe, pisze krytyk, że gdy czyta się powieść, człowiek dosłownie pęka ze śmiechu, tymczasem z adaptacji, filmowej czy telewizyjnej, „wieje nostalgicznym smutkiem" a nawet nudą.

WYZNANIA

■ „W każdym razie mamy prezydenta, który czyta książki, ba — nawet moje" (Poeta amerykański James Dickey).

■ „Całkiem zdrowy sport to taki, który wszyscy uprawiają, a nikt go nie chce oglądać". (Andrzej Wajda, „Tempo").

■ „Urodziłam się jako pierwsza naiwna, na ogół nie trafiając dobrze ani w czasie, ani w miejscu, ani z charakterem, ani z płcią (...) Gdy po licznych tarapatach myślałam, że już nie jestem naiwna — okazało się, że zostałam dziennikarzem. Mirosława Okolska — „Barwy" nr 2).

■ „Zamierza Pan napisać książkę o Wielkiej Brytanii? — Nigdy. Nie wierzę w sensowność takiego przedsięwzięcia. Denerwują mnie książki, które u nas napisano o Wyspie, ponieważ zawsze mogłbym znaleźć wiele przypadków zaprzeczających sformułowanym w nich syntezom. Podobnie jak nas denerwują książki napisane o Polsce przez zbyt pewnych siebie cudzoziemców". (Wywiad z Ernestem Brylem — „Kierunki" nr 6).

■ „W czasach mojej młodości często lubiliśmy przytaczać słowa Marka Twaina: „Lepiej być młodym szczeniakiem niż starym pawiem". Teraz mogę to potwierdzić: rzeczywiście lepiej". (Reżyser radziecki Sergiusz Jutkiewicz).

■ „W teatrze, który ja cenię, bilet wstępu nie jest gwarancją spokojnej rozrywki. Staje się natomiast zapowiedzią wyrwania z obojętności, z myślowego bezruchu. Dlatego sądzę, że miara wartości teatru nie jest natężenie oklasków lub pochlebstwa krytyki. Spektakl tak naprawdę zaczyna żyć w widzach po wyjściu z teatru". (Janusz Nowicki — „Ekran" nr 6).

noty i notki

Przed laty ktoś wpadł na pomysł, aby w całej Polsce przemalować na czerwono pojazdy komunikacji miejskiej — obronił się tylko Wrocław, chyba dzięki bestsellerowej piosence Koterbskiej. Ostatnio ktoś w lubelskim MPK wpadł na pomysł, aby nie przemalowywać bezowych trolejbusów radzieckich, za co należy go mocno pochwalić. Przy okazji przypomniało mi się iż PKS obiecywała malować autobusy na różne kolory. Po pierwsze dlatego, aby było weselej, po drugie — aby o zmroku autobusy były lepiej widoczne. Ale potem w instytucji tej zabrakło ludzi wesołych, a także dbałych o to, aby było mniej wypadków. Zapowiedzi bowiem nie zrealizowano.

Pana Włodzimierza Dębskiego od lat znamy w Lublinie jako muzykologa. Z niemałym więc zdziwieniem przeczytałem w „Sztandarze Ludu" (nr 25), iż w Domu Kultury LSM wygłosi on prelekcję pt. „Prawie wszystko o prasie". Kilka godzin później „Kurier Lubelski" doniósł, że ten sam prelegent o tym samym czasie i w tym samym miejscu będzie mówił na temat „Prawie wszystko o operze". Ponieważ na imprezie być nie mogłem, a żadna z gazet nie zamieściła sprostowania, do dzisiaj nie wiem, czy p. Dębski jest jeszcze muzykologiem, czy już prasoznawcą.

Zawsze podobały mi się kobiety z długimi, rozpuszczonymi włosami. Ale teraz zastanawiam się czy rzeczywiście zawsze miałem rozpasane myśli. Lucyna Legut pisze bowiem w swojej ostatniej kalażce pt. „Czekając na dziurę w niebie" tak: „Rozpuszczać włosy można w łóżku, do intymnych praktyk, a nie biegać z nimi wśród ludzi, dając do zrozumienia, że co każdej chwili jest gotową do położenia z kimś do łóżka".

Do dzisiaj zastanawiam się, co „z drugiej strony" spuchło Ernestowi Bryllowi w czasie, gdy przewodniczył jury I Festiwalu Filmów i Widowisk Telewizyjnych. Jak bowiem oświadczył w „Wieczorze z dziennikiem" 5 lutego, „z jednej strony spuchła mi głowa od oglądania ciurkiem kilkunastu programów", ale przy drugiej stronie tylko się zająknął. Czy więc, narażając się na spuchnięcie w nieokreślonym miejscu, warto było przyjeżdżać z Londynu do Olsztyna?

W związku z oszałamiającym tempem produkcji naszej poligrafii, dopiero styczniowy (otrzymaliśmy go 5 lutego) numer miesięcznika „Kultura i Ty" przyniósł sprawozdanie Wład. J. Ciesielskiego z III Konkursu Skrzypcowego im. Wieniawskiego w Lublinie. Dowiadujemy się z niego, kto organizował, otwierał, zamykał i przemawiał, o czym mówiono w kuluarach, o czym zapomniano. Pochłonięty tymi sprawami autor zapomniał o drobiazgu: nazwiskach laureatów konkursu. W dodatku strona z wiadomością o konkursie (62) nie jest w pełni zadrukowana i redakcja też nie pomyślała, aby nazwiska znaleźć chociażby w prasie lubelskiej.

Redaktora naczelnego Telewizorka z „Kuriera Lubelskiego" uważałem dotychczas za człowieka wybitnie pechowego, ale również takiego, który „o tych rzeczach" nawet nie myśli. Tymczasem okazuje się (nr 28), że red. Telewizorek szuka lublinianki, która poza wielu innymi przymiotami powinna być „najdogodniejsza". A do czego, panie redaktorze?

Kilka tytułów z ostatniej serii czasopism: „Hamlet i kopyto" (Perspektywy nr 5), „Wyznania zamglonego konia" (Odra nr 2), „Jak oswoić męża" (Panorama nr 6), „Nadzy wyglądają okropnie (Fakty-77 nr 6), „Łapiąc historię za rękę" (Prawo i Życie nr 6), „Topora używać z rozwagą" (Wiadomości nr 5), „Portret rodzinny na huśtawce" (Ekran nr 6).

Jak wyjaśnił na przeszło pół stronie w „Itd" (nr 6) dr Zbigniew Lew Starowicz, w tzw. „seansach świadomości seksualnej" istnieje osiem etapów: trzy autoerotyczne i pięć heteroseksualnych. Nie dziwnego, że poznając — w teorii i praktyce — tajemnice tych etapów wielu studentów i wiele studentek zawala potem egzaminy.

JOD

ekran i widz

„Romantyczna Angielka"

Z MIESZANYMI uczuciami oglądałem na lubelskich ekranach „Romantyczną Angielkę" Josepha Loseya historię trójkąta małżeńskiego opowiedzianą w sposób kulturalny i potoczysty, znamionującą rękę doskonałego fachowca, a w dodatku „pogłębioną" psychologicznie: mąż literat sam popycha sfrustowaną małżonkę w ramiona młodego playboya — „dekadenta", zarazem aferzysty i naciągacza. Czyni to trochę bezwiednie, a trochę świadomie, żeby zdobyć atrakcyjny materiał dla pisanego właśnie scenariusza filmowego. Film jest przepojony coraz bardziej narastającą atmosferą erotyzmu, obsesyjnymi wizjami dręczącymi zazdrosnego — w gruncie rzeczy — męża, osadzony doskonale w realiach angielskiej „higher middle class", dobrze sytuowanej burżuazji.

Wszystko to każe pamiętać o ustalonej od dawna opinii, że Losey jest „mistrzem w obrazowaniu powikłanych układów międzyludzkich i ukazywaniu najgłębszych, tajonych pokładów psychiki człowieka", ale zarazem tym wyraziściej uświadamia fakt, że „Romantycznej Angielce" daleko do doskonałości „Służącego", „Wypadku" czy „Postańca". Być może miał to być film o skomplikowanych meandrach duszy i osobowości tworzącego artysty, ale niestety, nie stał się wcale artystycznym objawieniem, tylko fachowo zrobionym melodramatem. Co zresztą chyba nie przynosi ujmy reżyserowi, a tylko pozostawia pewien niedosyt i uczucia zawodu u wielbicieli talentu Loseya. Nawiasem mówiąc, nawet najbardziej wybredni widzowie mają tutaj na pociechę doskonałość aktorską jaką jest Glenda Jackson, jeszcze raz potwierdzająca swój wysoki kunszt artystyczny. Znacznie gorzej wypada inna gwiazda światowej miary, Helmut Berger, który zrobił karierę dzięki roli Martina von Essenbecka w „Zmierzchu bogów" Visconiego a tutaj jest jakby małym odbiciem postaci stworzonych w poprzednich filmach, a traci jeszcze bardziej w zestawieniu z doskonałym aktorstwem Glendy Jackson.

Jaki stopień może osiągnąć damsko-męska satysfakcja pary jadącej wtedy? Jakich w tym celu należy użyć sztuczek? Oto główny orzech jaki miałem do zgryzienia w trakcie oglądania „Romantycznej Angielki" — pisał dość złośliwie o filmie Loseya jeden z krytyków angielskich. A jednak, warto pójść do kina i obejrzeć to niezbyt udane dzieło starzejącego się mistrza, choćby dla uzupełnienia wiedzy o jego twórczości i uświadomienia sobie, jak — mimo wszystko — wciąż młody i wciąż utrzymujący się w nurcie współczesności jest Losey.

Przecież wkrótce skończy siedemdziesiąt lat. Jest jednym z najstarszych reżyserów a mimo to sięga zazwyczaj po tematy do otaczającego go współcześnie świata. Rdzenny Amerykanin, potrafił wrosnąć tak samo mocno w specyfikę życia europejskiego, jak jego kolega po fachu, John Schlesinger, rodowity londyńczyk i jeden z głównych twórców angielskiego ruchu „młodych gniewnych" — w nurt współczesnego kina amerykańskiego. Jak mało który z reżyserów zaznał goryczy z powodu trzymania się własnych zasad artystycznych i z posiadania własnego zdania. Jest ciekawy świata i ludzi. Jeszcze w latach trzydziestych wyruszył do Europy, żeby zapoznać się z tutejszym teatrem i filmem. Był w Moskwie i Leningradzie, studiował artystyczne doświadczenia Ochłopkowa i Meyarholda. Interesował go teatr polityczny, a tuż po wojnie przystąpił do współpracy z Bertoltem Brechtem. I kiedy jego osobowość artystyczna zaczęła się ostatecznie krystalizować, gdy wzbudził zainteresowanie pierwszymi filmami fabularnymi, musiał opuścić Stany Zjednoczone oskarżony o prokomunistyczne sympatie. Był jednym z dziesięciu twórców, dla których studia filmowe Hollywoodu zostały wówczas na głucho zamknięte. Przemierzał Europę kręcąc filmy pod różnymi pseudonimami zanim wreszcie mógł osiedlić się w Anglii i tworzyć pod własnym nazwiskiem. Nakręcił 25 filmów i szkoda, że nawet połowy z nich nie mogliśmy dotąd obejrzeć.

md

POCZTA LITERACKA

S. G. Lublin. Napisać wiersz po to, żeby został prywatny zapisek liryczny? Nie powiem, że nie ma w tym uroku. Ale nawet tak potraktowane pisarstwo musi zawierać pokuszenie się o wysoką próbę, bo inaczej opadają i te stronice, które napisaliśmy „dla siebie", z myślą o sztambuchu. Mierzyć trzeba wyżej, spełnienie zawsze jest mniejsze od zamiaru.

A. B. Stalowa Wola. Tak, proza nie jest tylko narzędziem przekazu anegdoty. Nie pisze się powieści i opowiadań po to, by utrwalić zmyślone czy rzeczywiste postaci ludzkich zachowań się. Ma tu jeszcze dużo do powiedzenia walor stylistyczny, jakość tworzywa, które zostało użyte, tzn. język. Ale na tyle wyeksponować to drugie, by pierwsze zostało kopciuszkiem — mija się z celem. Niech go wcale nie będzie, wtedy prozatorski utwór jest ekspozycją refleksji, nastrojów, przemyśleń mających swe znaczenie autonomiczne, nie akompaniujące fabule — zgoda i mamy na to wiele przykładów w postaci choćby monologu wewnętrznego. W ogóle niefabularna postać prozy jest dziś uprzywilejowana skoro to, co jest powieścią, „romansem" wzbudza podejrzenia o koligacje z przeszłością. Więc niechby Pana tekst był w tym kierunku zamierzony. Ale nie, on powstał z całkiem „poczciwej" inspiracji narratorskiej, tylko w realizacji narósł tą „intelektualną" nadbudówką na tyle, że czytelnik gubi się w lekturze. Nie wie, co ma odbierać. Ma wrażenie, że autor na tej samej szachownicy raz gra z nim w warcaby, raz w szachy. Zdecydujmy się do czego siadamy.

W. C. Lublin. Odtrącać, mieć sobie za nic cały potencjał środków i znaczeń intelektualnych w prozie, by tym pełniej wystąpiła „prawda życia"... Bardzo często wynika to ze zwykłych nieumiejętności artystycznych. Wielu autorów zdaje się dziś wyznawać opinię, że „furda sztuka, u mnie jest sama prawda". I czytelnik ma przyjąć, że autor rzemiosło opanował ponad wszelkie wymagania, została mu ta prostota, która znajduje się na szczycie wszelkich artyzmów. Tymczasem gwizdnięcie na rzemiosło najczęściej wynika z nieumiejętności opanowania go i mamy naiwniutkie gaworzonka, tyle że pretensjonalne, tyle że wychodzące z ust „cudownych dzieci". Oryginalność? Taka oryginalność? Niech się na konkurs pianistyczny zgłosi ktoś, kto w ogóle nie dotknął fortepianu. Nikt się tak nie wyróżni, jak on.

R. C. Puławy. „Wiem, co chcę napisać, ale niech by ktoś doświadczony powiedział mi jak". Z tym pragnieniem nosi się wielu początkujących piszących. I myli się. W pisaniu, jak zresztą we wszelkiej twórczości artystycznej, „co" z „jak", jest zrośnięte, nierozdzielne. Jeśli ktoś nie wie „jak" napisać, nie wie „co" napisać. Świat mamy wszyscy. Poeci go potrafią interpretować. Interpretacja jest kwestią osobowości, tej nie można nauczyć. Np. znamy jesień. Ale tylko Broniewski nazwał listopadowy wiatr „poborcą liści". Tylko u Czechowicza „jesień biegnie na przełaj na bliskim jej kilometrze". Tylko u Gałczyńskiego „jesień pachnie jak zła terpentyna". Nauczyć pisać wiersze to nauczyć widzieć. Nie można. Owszem, kontakty rozmowy, lektury — te zawsze kształcą. Ale nie inaczej, niż tylko w ten sposób, że stwarzają klimat pomocny do autonarodzin tego właśnie spojrzenia, które jest spojrzeniem poetyckim.

K. S. Radom. Wie Pan, jak bym zaryzykował nazwać pańskie poezjowanie? Koczownicze. Nie w tym znaczeniu, że „materiały" do wierszy zbiera Pan tu i tam, to jest normalne. W tym znaczeniu, że pisze Pan w coraz innym miejscu swojego światopoglądu, usposobienia, upodobań. Pewnie, że w ten sposób zyskuje Pan pożądaną różnorodność stylu. Tylko... Z tą różnorodnością wcale nie jest tak, jak deklarują niektórzy poeci, np. Przyboś. Ten uparcie przekazywał, że każdy wiersz zaczynał z innych pozycji artystycznych, że to, co już napisał, uważał za zamknięte w swej poetyce, niemożliwe do podjęcia na nowo. A popatrzmy na teksty. Czy muszę coś jeszcze dodać? Tak samo jednolity we wszystkim co napisał jest Leśmian. Wyraźnie oświadczył: „Mój wiersz objawił mi się już na ławie szkolnej, to co napisałem jest tylko powtarzaniem tego jednego wiersza w wielu wersjach". I stąd chyba bliżej do autodefinicji poety. Wcale nie chodzi o jeden temat, jeden ton, jeden styl. Chodzi o jedną rękę. Tej nie można zmienić. Zresztą po co. I tak zawsze ma ona za dużo do zrobienia.

R. P. Lublin. Tak, ale w tych satyrach jest za mało siły komicznej, a jeśli coś tu i tam skłoni do uśmiechu, wynika raczej z przypadku. Może się zresztą mylę, może z przypadku powstały rzeczy nieudane. W każdym razie powinien Pan zadbać o większą selekcję swoich tekstów, żeby niezłych nie kompromitować sąsiedztwem z nieudanymi. To taka praktyczna rada. W redakcji zawsze pierwszym nastawieniem jest nieufność. Nie trzeba jej dawać pożywki.

G. Z. Warszawa. Zawierzam szczerości tych wierszy i nawet dodam, że tak „na prywatny użytek" ujmują one swoją bezpretensjonalnością. Żaden z tych obrazków nie ma dużej ramy. To dobrze. Nie kłamać, nie stawiać na możliwość, że czytający dopatrzy się w tym większego formatu. Ale też wolałbym, żeby więcej miały do powiedzenia na rynku dzisiejszych dokonań poetyckich. Zachować czystość tonu, ale go wzmóc. Myślę, że nie będzie Pani miała za złe, jeśli z drukiem poczekamy. Nierzadko sami autorzy po pewnym czasie za to dziękują.

S. T. Lublin, S. G. Radzyń Podlaski, W. R. Chełm — nie skorzystamy.

Szyfrogram (nr 4)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment wiersza Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Pierwsze litery 21 początkowych wyrazów pomocniczych utworzą tytuł tego utworu. Pojedyncze czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między słowami, a podwójne — między wierszami.

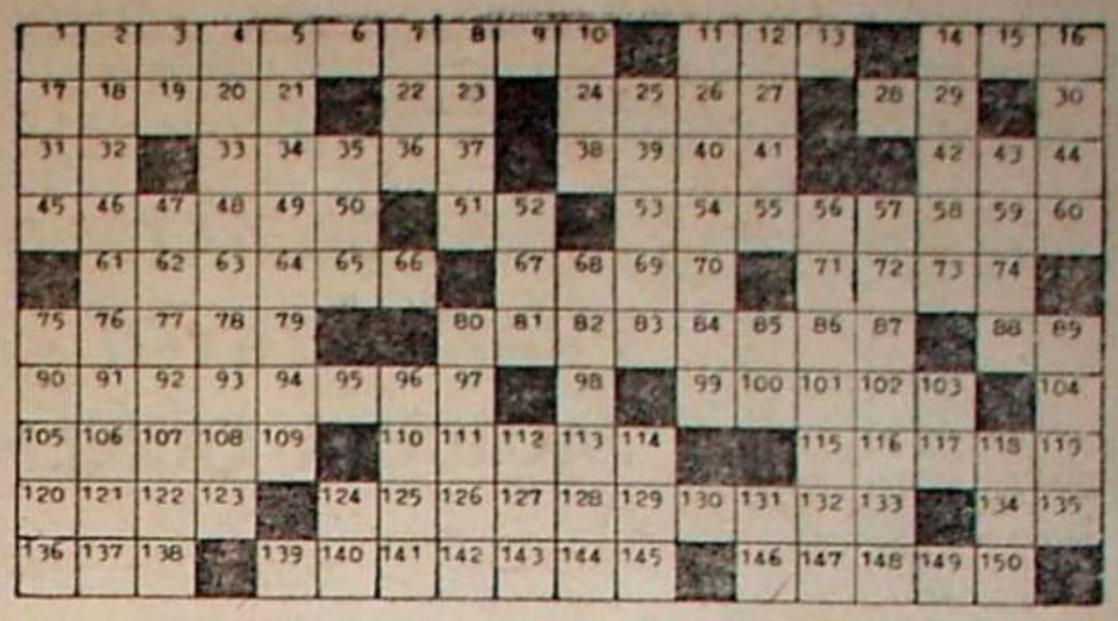

Wyrazy pomocnicze

6. 27. 56. 16. 66. 62. 163. 25. 35 — osobliwy przypadek.
7. 50. 2. 10. 11. 107 — wieś w Czechosłowacji spacyfikowana przez hitlerowców.
17. 47. 34. 129. 60. 144. 30. 43 — stopniowy rozwój.
108. 39. 4. 15. 77. 48 — końska fryzura.
5. 55. 40. 36. 65. 12. 128. 71 — posiada wyższe wykształcenie techniczne.
31. 142. 114. 122. 52. 32 — mieszka w Londynie.
1. 140. 26. 84 — wchodzi w skład stopu drukarskiego.
18. 54. 98. 78. 37 — nie nosi munduru.
42. 46. 76. 3. 81 — grupa koczowników.
101. 70. 112. 138. 97 — zimowy sprzęt sportowy.
147. 23. 115. 89. 100. 45 — wycofanie się.
110. 67. 59. 113. 91 — gdy nie ma wojny.
130. 19. 41. 24. 64. 75. 85 — kawałeczek całości.
21. 68. 127. 53. 88 — gniecenie.
129. 83. 49. 87. 28. 137 — miasto pod Szczecinem z fabryką nawozów.
29. 93. 148. 13. 51. 69 — łączy klepki beczki.
9. 74. 38. 92. 124. 141 — ani wodny, ani powietrzny.
14. 86. 111. 126. 131 — droga bita.
20. 79. 73. 118. 109. 136. 82 — atrybut białogłowych.
8. 94. 119. 134. 123. 63. 80 — polska żyletka.
146. 72. 61. 136. 86. 95 — mieszkanie ślimaka.
132. 106. 143. 99. 117. 58 — masa jadalna owocu.
120. 133. 145. 104. 57. 125 — ludowy tygodnik wychodzący w Krakowie.
105. 149. 90. 102. 116 — ballada o wojewodzie zdyszanym.
44. 22. 135. 33. 121 — nie może przeważać nad treścią.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin).

Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 2 był fragment „Pani Bovary" Gustawa Flaubera:

„Fraki ich, lepiej skrojone, zdawały się uszyte z cieńszego sukna; włosy, zaczesane puklami ku skroniom, lśniły wykwintniejszą pomadą. Delikatna ich cera była wykwitem bogactwa..."

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 2 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Monika Kruszelnicka, 20-604 Lublin, ul. Wajdeloty 10 m. 46; Jerzy Olak, 01-456 Warszawa, ul. T. Krępowieckiego 9 m. 190; Krzysztof Rachwalski, 91-110 Łódź, ul. Łanowa 113 m. 42; Tadeusz Uljasz, 20-612 Lublin, Al. PKWN 8 m. 60.

listy do kamery

„JESTEŚ PIJANY"...

Popadłam w głęboką zadumę po przeczytaniu w „Kamenie" z 23 I br. tekstu niejakiego Kornika, zatytułowanego „Jesteś pijany..." Pomijam trudności z określeniem, co ten tekst reprezentował: artykuł, pseudofelieton, zagadkę dla czytelników czy też humoreskę? „Olo" i „Stasio", „święty Dominik" — dla kogoś nie związanego ściślejszymi lub bardziej luźnymi kontaktami z danym środowiskiem zdrobnienia te i określenia, użyte w tekście, są nic nie mówiącymi „hasłami". A przeważnie tak się dzieje, że wszelkiego rodzaju publikatory mają dziwny zwyczaj podawania nazwisk osób, które nas tu i tam reprezentują. „Kamena", jak każde czasopismo społeczno-kulturalne, ma określoną grupę stałych czytelników. Ci, być może, potrafią rozszyfrować „Stasia, Olo i świętego Dominika", lub — w najgorszym przypadku — utożsamić Kornika z A. Rozenfeldem vel Olem. A przecież gros czytelników stanowią ludzie nabywający dwutygodnik od przypadku do przypadku. Jaką oni odniosą korzyść z tej informacji? Najprawdopodobniej dojdą do wniosku, że lubelskie środowisko literackie to kilku alkoholików, ludzi niepoważnych, kompromitujących nas na sympozjach literackich. Po przeczytaniu tego (wciąż się waham, „czego"), takie uogólnienie nasuwa się samo przez się. A czy tak jest naprawdę?

Jeśli to miał być dowcip — to marny. Jeżeli rozgrywki (czy „odgrywki" osobiste — to nie widzę sensu zamieszczania tego rodzaju rzeczy w prasie. Jeżeli natomiast Kornikowi chodziło o wydrążenie w mózgach czytelników korytarzyka niechęci do pewnej grupy naszych lokalnych poetów, to jedynym plusem autora jest to, że solidarnie wygłupia się ze swoimi kolegami „po piórze". Plus ten jest jednak dość słaby, ponieważ „Olo" udziela sobie niejako rozgrzeszenia, skromnie wspominając o drugiej nagrodzie na sympozjum (gratuluję). Wydaje mi się, że najbardziej korzystnie byłoby, tak dla „Kameny" jak i czytelników, zamieszczenie zwykłej notatki z konkretnymi informacjami dotyczącymi przebiegu sympozjum literackiego, ewentualnie druk nagrodzonych wierszy.

Marika Ciekawska
(nazwisko nieznane redakcji)
Lublin

„WALDORFF OKRADZIONY"

Szanowny Panie Redaktorze!

Podziękować śpieszę Panu za wzięcie mnie w obronę przed lubelskim plagiatorem mego tekstu. Niestety, to nie pierwszy raz! W dwóch poprzednich zaniechałem rewindykacji, traktując pobłażanie jako rodzaj jałmużny dla ubogich talentem i wiedzą.

Pan ma jednak zupełną słuszność, kiedy piętnuje takie poczynania. Bezkarni i ośmieleni tym plagiatorzy, do czego doprowadzilibu!... — Wobec skromnego zasobu wiadomości z literatury w naszych redakcjach, zwłaszcza dzienników, mogliby — nabierając apetytu w miarę sukcesów — przepisać na własne konto np. całą twórczość Krasińskiego.

Łączę wyrazy szacunku

Jerzy Waldorff

Warszawa, 29 stycznia 1977 roku

„NOTKI" O SKANSENIE

W związku z notatką zamieszczoną w 24 numerze „Kameny" z ub. roku, w rubryce „Noty i notki", Muzeum Wsi Lubelskiej informuje:

„Skansen" w Nowym Sączu został we wrześniu 1973 r. nie założony, lecz otwarty. Prace przy jego organizacji rozpoczęto w 1966 r., a zatem 9 lat wcześniej.

Przeniesienie dworu Wincentego Pola z jego pierwotnego miejsca przy ul. Łęczyńskiej było koniecznością spowodowaną rozbudową Lubelskich Fabryk Wag, a nie wynikało z programowych założeń Muzeum Wsi Lubelskiej. Przy wyborze nowej lokalizacji dworu W. Pola w 1970 r. Wojewódzki Konserwator Zabytków skorzystał z istniejącej możliwości oddania tego obiektu pod opiekę Muzeum Wsi Lubelskiej. Ze względu na podmiejski charakter dworu i bliskość innych zabytków budownictwa małomiasteczkowego (domy przy ul. Kalinowszczyzna nr 17 i 19), nowe usytuowanie przenoszonego dworu było i jest nadal w pełni umotywowane. W związku z przeniesieniem na Stawinek lokalizacji parku etnograficznego, dwór oddany będzie Muzeum Okręgowemu z przeznaczeniem na Muzeum biograficzne Wincentego Pola.

„Zżeranie spalinami" jest bardzo poważnym problemem konserwatorskim, ale może być też tylko modnym frazesem. Dwór W. Pola usytuowany jest w oddaleniu od jezdni, na dość wysokiej skarpie i oddzielony od ulicy starymi drzewami. Na terenie Lublina występuje niewątpliwie zagrożenie zabytków wskutek zanieczyszczenia powietrza. Wymienić można fasady z dekoracją architektoniczną przy ulicach śródmieścia, albo odkryte i nie zabezpieczone od trzech lat dekoracje malarskie na Starym Mieście. Natomiast w odniesieniu do dworu W. Pola wątpliwe jest, czy spaliny samochodowe zagrażają mu w sposób istotny, bardziej niż inne zanieczyszczenia powietrza i czynniki atmosferyczne. Dlatego użyte w notatce przez JOD „zżeranie spalinami" jest tylko demagogicznym frazesem.

Autor notatki nie zadał sobie trudu zasięgnięcia informacji, co Muzeum Wsi Lubelskiej zgromadziło i jego wiedza na ten temat wyraża się trzema kropkami. Muzeum przesyła zatem raport o stanie budowy skansenu wraz z założeniami programowymi. (...)

Dyrektor Muzeum Wsi Lubelskiej
Ryszard Królikowski

Pisząc „wątpliwe jest, czy spaliny samochodowe zagrażają mu w sposób istotny" — dyr. Królikowski nie wyklucza przecież takiej możliwości, a tylko w nią wątpi. Dlaczego więc w następnym zdaniu pisze o „demagogicznym frazesie"? A za raport dziękuję, chociaż w żaden sposób nie da się on streścić w małej notce, nawet gdy zastąpi trzy kropki.

JOD

„NIEZWYKŁE PODRÓŻE KOLEJĄ NADWIŚLAŃSKĄ"

Na marginesie artykułu M. Dereckiego w 1 numerze „Kameny" z bieżącego roku, bardzo zresztą interesującego, pragnę zauważyć, że od czasów Iwangrodu nie poprawiła się dotąd w Dęblinie „jakość potraw w tamtejszej restauracji". Polecam degustację.

Wanda Lipska
Warszawa

„KULTURA 1976"

Byłoby dobrze, aby redakcja poświęcała więcej uwagi notatkom informacyjnym zamieszczanym w „Kulturze 1976". Podawanie błędnych danych nie przynosi chwały tak poczytnemu pismu. Świąteczny numer (z minionego niedawno roku — ww. red.) zawierał dwa dość istotne (moim zdaniem) błędy. I tak: Chaplin był artystą pochodzenia angielskiego (nie był artystą francuskim); ostatnio obchodzono setną rocznicę urodzin Mieczysława Karłowicza, a nie śmierci, jak podaliście. Różnice dość istotne.

Jerzy Łopuszyński
Lublin

CO LUBIĄ W AUSTRII?

Z jednego zdania artykułu „Co lubią w Austrii?" wypadło jedno słowo: a w a n g a r d y, co zdeformowało sens wypowiedzi („Kamena" nr 3 z br.). Prawidłowe brzmienie owego zdania jest następujące: „I oto Jacek Łukaszczyk oświadcza, że słuchaczy a w a n g a r d y jest w Wiedniu nie więcej, niż trzy tysiące osób". Przepraszamy.

Red.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni, (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
— do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do dnia 10 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.
Cena prenumeraty rocznej — 78.—

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH".

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 290 3.II.77 r.

Numer łamał: Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Wacława Kopcia

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Nr indeksu 36251

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

czas 2552/1977/4

Konrad Kozłowski

ANEKS DO KATALOGU NOWOŚCI PRAKTYCZNYCH JACQUESA CARELMANA

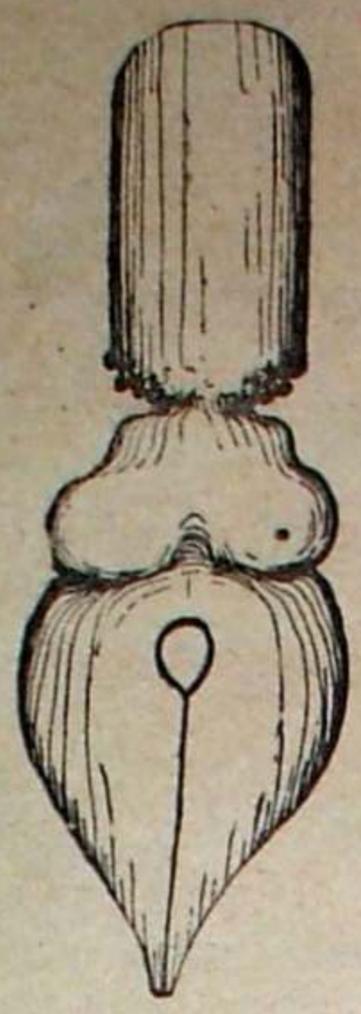

Stalówka Wenus z Milo. Pomoc naukowa — rozwija wyobraźnię młodzieży

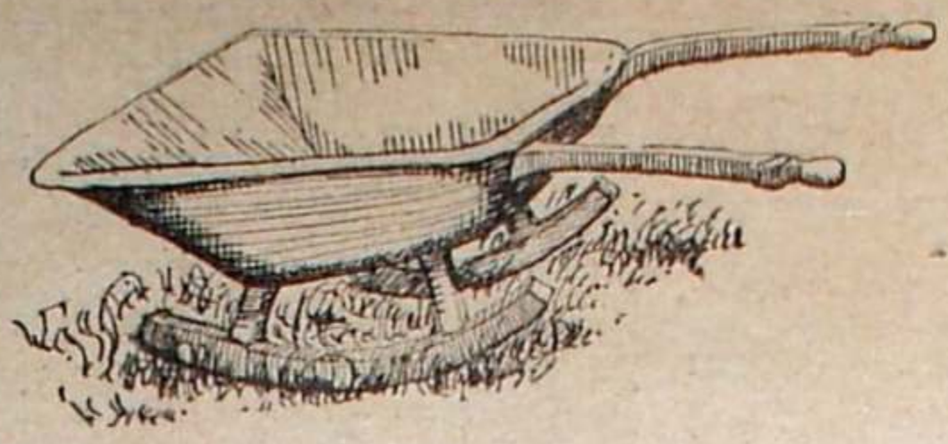

Taczka. Obiekt wieloczynnościowy: usprawnia pracę i umila wypoczynek

Okulary dla chodzących na rękach. Nawet ludzie z wadami wzroku mogą uprawiać gimnastykę bez obawy o spadnięcie okularów

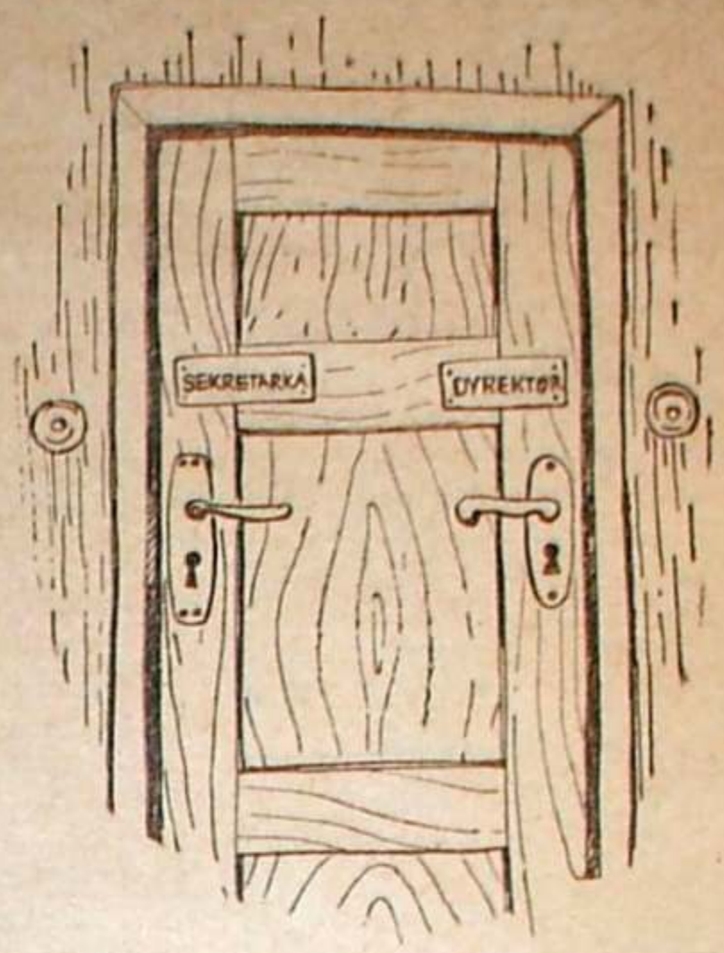

Drzwi umożliwiające bliski kontakt dyrektora z sekretarką

MINUTA MYSLENIA

Biedna corrida

RZADKO czytam „Kulisy". Najciekawszy w tym tygodniku wydaje się jego charakter polegający na staraniach by objąć jak najwięcej sensacyjek „nie tracąc niczego" z zasadniczości spojrzenia. Pismo, które chce mieć same ostatnie strony, ale nie same ostatnie problemy. Niech będzie.

Więc tylko przypadkiem trafiłem na artykuł Jacka E. Pałkiewicza z numeru 4 „Mafia, młodzież i byczek Fernando zabijają corridę". Artykuł figuruje jako „korespondencja własna z Hiszpanii" i nie ma żadnej adnotacji, która wskazywałaby, że jest jednym z cyklu, więc temat poruszony w korespondencji jest wszystkim, co Jacka E. Pałkiewicza w Hiszpanii zainteresowało. To znaczy zainteresowała go tylko walka byków.

Powiedziałem „tylko". Może walka byków jako temat „tylko" jest dla mnie? Może dla Jacka E. Pałkiewicza jest „aż"? Tak może być. Jednego interesuje wpływ odkryć naukowych na kształtowanie współczesnego świata, kwestia narodzin nowych konwencji stylistycznych w literaturze, filmie i malarstwie możliwość ingerencji ludzkiej na obszarze determinatów biologicznych, drugiego przekluwanie byków. I też wnosi swój wkład. Intelektualny. Sam Jacek E. Pałkiewicz mówi: „śledzę corridę od wielu lat", „pamiętam, że jeszcze sześć lat temu..." A więc śledzi i pamięta. To nie jakieś przypadkowe potrąconko o fragmentaryczny tematik. To fakt specjalizacji. Dziwne? Przecież tam się ciągle pod pozorem wyrównanej walki urządza rzeźnie zwierząt, które przed ostatecznym upadkiem mają przejść trasę męczarni dostarczając tym emocji wyjącemu motłochowi więc jakże to pominąć. Polskiemu intelektualiście? Jacek E. Pałkiewicz od sześciu lat nie zaznaczył swej obecności w dziedzinie reportażu, krytyki literackiej, teatru. Przedtem też nie. Ale od sześciu lat nie chciałby utracić ani jednego ruchu banderilli na hiszpańskiej ziemi. W tych warunkach aż dziwi, że w zakończeniu artykułu nie zadeklarował swych usług w staraniach o licencję z jakiejś Walencji, Sevilli czy Barcelony celem zbudowania tauromachicznej (co za kulturalna nazwa) areny w Warszawie.

Popatrzmy jakimi stylistycznymi zwrotami zaopatruje swoją korespondencję. „Wielu utrzymuje, że tylko radykalna reforma może uratować corridę". „Organizatorzy twierdzą że publiczność nie interesuje się tym gatunkiem corridy (mowa o novilladzie, ale licho wie, co to jest — przyp. Ijon) i z tego powodu jest on traktowany po macoszemu". „W ten też sposób zamykają szansę wypłynięcia na szersze wody początkującym adeptom tej sztuki". A oto cytat z Manuela Taramony, chyba profesora corridologii: „Brakuje magnesu, który przyciągnąłby ludzi, którzy coraz więcej śledzą corridę z przyzwyczajenia, z kaprysu, a mniej z głębokiej sympatii". Co do budowy zdania to profesor był łaskaw popłątać, a docent nie naprostować, ale wiemy o co chodzi. Że znęcanie się nad zwierzętami ma być obdarzone uczuciem głębokiej sympatii. No bo jest sztuką. Ma adeptów. Jeśli niedomaga, to zasługuje na reformę. I więcej ciepła tym kopciuszkom novilladom.

Powiedziałby kto, że już z zacytowanych fragmentów wynika zmierzch corridy, więc jakikolwiek polemiczny ton jest tu bezzasadny. Po pierwsze — choćby nawet, to dziwi z tego powodu zmartwienie, po drugie — ten zmierzch przedstawia się tak, że jeśli w roku 1939 było tych corrid 114, to w roku 1969 „tylko" 190.

„Zajęcie dla mężczyzny", „sprawdzenie się bie", „szukanie potwierdzenia własnej osobowości". Prawda, jak wysoko brzmi ta nuta? Popatrzmy zatem jak ta męskość, to sprawdzanie i to potwierdzenie wyglądają w rzeczywistości.

Walka z bykiem składa się z trzech części. W pierwszej walczący pieszo toreadorzy wymachując czerwonymi płachtami, naprowadzają byka na pikadorów. Ci panowie siedzą na koniach i mają lance. Jeśli, to dostanie się koniowi. W części drugiej tzw. banderillero wbija bykowi trzy pary włóczni w kark. Trzy pary. Takiego dostaje matador. Zgonionego, ogłupiałego, osłabionego upływem krwi. Wbija mu szpadę między łopatki. I to jest akt trzeci. Owacje, zachwyty, szał. Brawo caballero.

A więc byk ma przeciw sobie kilka koni, kilkunastu ludzi, lance i dzirydy. Jest jeden na otwartej przestrzeni, tzn. może atakować tylko „jednym frontem", podczas gdy strona przeciwna kilkoma naraz. Kto w czasach szkolnych znalazł się w sytuacji tak prowadzonej bójki, wie że jedynym zwycięstwem może być ucieczka. Dla byka niemożliwa: arenę otaczają dwa rzędy barier. Poza tym wiadome jest, że kiedy byk jest trochę tęższy, w związku z czym zachodzi obawa, że sprawa nie pójdzie za łatwo, już w oborze spiłowuje mu się końce rogów. Po co? Rogi wewnątrz mają coś w rodzaju szpiku. Kiedy ten szpik jest obnażony, dotknięcie rogiem powoduje ból. Mamy odpowiedź. Wtedy byk jak najmniej operuje danym mu przez naturę narzędziem obrony. I jeszcze jedno: byk nie atakuje człowieka. Atakuje czerwoną płachtę. W niej widzi przyczynę ciosów, które go spotykają. Pozornie to wygląda bardzo dumnie: człowiek nie tylko wyszedł naprzeciw rozjuszonej bestii, ale jeszcze trzyma w ręku to, co je najbardziej drażni. Dzień dobry, naiwności. Ta płachta to właśnie piorunochron. Pancerz, zza którego można zadawać te eleganckie, w ukłonie do publiczności, ciosy. O czym zaświadczają fotografie zamieszczone również w artykule Jacka E. Pałkiewicza.

W hiszpańskiej wiosce zdarza się i taki obrazek: środkiem biegnie młody byczek, którego pałkami tłucze cała wieś, aż przy końcu zatłuczone zwierzę upada. Czy niebezpieczne? Wyrwało się z zamknięcia? Wściekłe? Nic takiego. Po prostu byczek pojawił się i w kimś na ten widok zagrała hiszpańska krew. Ten ktoś uderzył i to jako przykład wyzwoliło aktywność całej wsi. Czy nie ciekawy objaw obyczaju? Czekam na reportaż. Jacek E. Pałkiewicz już ma jednego czytelnika jak w banku.

Ijon

HOROSKOPY

Ważne od dnia 22 II do 7 III 1977

BARAN
21 III — 18 IV

Ten wyjazd zapowiada się dobrze, w zasadzie będziesz z niego zadowolony. Musisz jednak zwrócić uwagę na zawartość portfela: ostatnio zbyt szybko upłynniasz swoje — nie tak znów wielkie — zasoby finansowe. „Zastaw się — a postaw" — to było modne kiedyś. W ten sposób nie zdobędziesz przyjaciół!

PS. Na spotkanie z Danielem Passentem raczej nie licz!

BYK
19 IV — 20 V

Plotki wokół twojej osoby krążą nadal. Niestety, coraz więcej wokół ciebie takich, którzy chcą ci podłożyć tzw. świnię. A ta pochwała kierownictwa jeszcze dolała oliwy do ognia. Mimo wszystko jednak i początek marca zapowiada się pomyślnie. Dalej bądź pogodny, ale i ostrożny.

PS. Lektura felietonów Michała Ryżgowskiego może ci się przydać.

BLIŹNIĘTA
21 V — 20 VI

Ten urlop powinien ci dopomóc w zdobyciu sukcesów, których tak pragniesz. Musisz jednak lepiej dobierać lekturę. Odpoczynek też byłby wskazany, a tobie odpowiada bardziej siedzący tryb życia. Najwyraźniej okłapłeś ostatnimi czasy. A szkoda!

PS. Z rad Jerzego Urbana też warto niekiedy korzystać.

RAK
21 VI — 22 VII

Jeśli szef się do ciebie uśmiechnął, nie wyciągaj z tego zbyt daleko idących wniosków. Szef spodziewa się podwyżki, stąd i humor ma lepszy. Ty raczej teraz na podwyżkę nie licz, zwłaszcza po ostatnim pijaństwie, kiedy to zachowałeś się — mówiąc delikatnie — niezbyt kulturalnie. Jak wypijesz — tracisz panowanie nad sobą.

PS. Może warto porozmawiać z Dariuszem Fikusem?

LEW
23 VII — 22 VIII

Nie szanują cię ludzie, ale się tym specjalnie nie przejmuj. Rób swoje, ale bardziej starannie. Masz już mniej zaległości, wkrótce będziesz pracować na bieżąco. Uważaj jednak na pewną blondynkę (kobiety — na blondyna), ten romans nie będzie miał sensu, a ponadto skomplikuje ci życie. Czy niczego nie nauczyły cię dawne przeżycia?

PS. Nie zanosi się na to, abyś towarzyszył Zygmuntowi Kałużyńskiemu w najbliższej wyprawie na festiwal filmowy.

PANNA
23 VIII — 22 IX

Króliki ci w głowie, znów się zaniedbałeś w pracy. Sądzisz, że inni tego nie dostrzegają? Na co ty właściwie liczysz? Jeśli już kilka razy ci się upiekło, sądzisz, że tak będzie stale? W domu zbyt często niepotrzebnie się irytujesz. Tyle razy już ciebie ostrzegano: panuj nad swoimi nerwami.

PS. Jan Bijak teraz nie przyjedzie.

WAGA
23 IX — 22 X

Uwaga: zapal czerwone światło. Stop. Z tego nic dobrego nie wyjdzie. Wycofaj się póki nie jest za późno. Szef, dotąd z ciebie zadowolony, zaczyna zbytnio mruczeć. Wina wyłącznie po twojej stronie. A te twoje przyjemności odbijają się na zdrowiu!

PS. Pilnie czytaj rozważania Mieczysława F. Rakowskiego.

SKORPION
23 X — 21 XI

Głowa do góry! Chodzisz ponury jakby ci ktoś dom podpalił. I po co zazdrościć innym osiągnięć? Przydałoby ci się więcej ruchu. Ruch wyzwala energię. Ostatnio zrobiłeś się oszczędny aż do przesady. Zbierasz na willę z ogródkiem?

PS. Janusz Atlas mógłby się wiele nauczyć.

STRZELEC
22 XI — 21 XII

Zdaje ci się, że żyjesz pełną piersią, ale to zwykła monotonia! Obracasz się stale w kręgu tych samych znajomych, z góry wiesz, jak w danym momencie zareagują. W sumie towarzystwo jest nudne, warto więc nawiązać nowe kontakty. Ale uważaj: niektórzy sądzą, że ty możesz dla nich dużo uczynić, a przecież w gruncie rzeczy sam jesteś małym pionkiem. Często o tym zapominasz!

PS. Pomóż sobie sam. Witold Pawłowski też ci nie pomoże.

KOZIOROŻEC
22 XII — 20 I

Szef jest miły, ale utrzymuje dystans. Martwi cię to zupełnie niepotrzebnie, byłoby gorzej, gdyby ci nadskakiwał. Jeśli zmieniasz pracę a masz takie myśli, będzie cię miło wspominał. To też się liczy. W domu — wszystko w porządku. Miłość trwa, czego ci więcej potrzeba?

PS. Muzyka łagodzi obyczaje. Czytaj Jerzego Waldorffa.

WODNIK
21 I — 18 II

Osoba spod znaku Strzelca odwróciła się od ciebie i swoje zaloty obróciła w zupełnie innym kierunku. Sam siebie możesz za to obwiniać. Zbytnio się stroisz, te wydatki niektórych — z różnych względów — irytują. Humor dopisuje ci nadal, choć to dobre, że umiesz się cieszyć z byle czego. Ale innych zbytnio krytykujesz!

PS. Przydałoby ci się wiaderko tolerancji. To nie ja, ale Anna Strońska.

RYBY
19 II — 20 III

Osoby urodzone pod znakiem Ryb stały się teraz bardzo nerwowe i działają pod wpływem chwili. Niech więc sobie same radzą.

PS. A najlepiej „Politykę" zaprenumerować!

Stella